przeciw świętej wojnie 3

marzenia w depozycie 4

owoce złotej jabłoni 5

kłopoty z mamą 12

za uśmiech dziecka 13

KONTAKTY

ŁOMŻYNSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

37
(64)
KONTAKTY
20.IX.1981
Cena 6 zł

KULTURA I KULISY WŁADZY (2)

Sztuka odchodzenia

Minął właśnie rok od chwili, kiedy społeczeństwo polskie po raz kolejny zmusiło do odejścia kolejną ekipę władzy. Minęły gorące miesiące rozliczeń, wymuszonych przez załogi robotnicze rezygnacji „ze względu na stan zdrowia", odbierania zaszczytów i godności decyzją partyjnego elektoratu — wyborczych konferencji zakładowych, miejskich i wojewódzkich oraz IX Zjazdu PZPR. Przycichły też głosy przypominające podobne momenty w naszej historii. Zostały pytania: czy w Polsce zmiana władzy zawsze wiązać się musi z jej kompromitacją i ciężkim kryzysem społecznym? Jakie wypracować należy mechanizmy, by odejście stało się normalnym elementem życia politycznego?

Wokół tych generalnych zagadnień skupiła się uwaga uczestników kolejnej panelowej dyskusji, zorganizowanej w „Starciach" — Klubie Dyskusyjnym „Kontaktów" — przez redakcję i Wojewódzki Ośrodek Kształcenia Ideologicznego w Łomży. W panelu prowadzonym przez Klemensa Krzyżagórskiego — redaktora naczelnego „Prasy Polskiej" — udział wzięli: doc. dr hab. Winicjusz Narojek z Instytutu Socjologii i Filozofii PAN, doc. dr hab. Włodzimierz Pawluczuk z Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i dr Jacek Tarkowski z Uniwersytetu Warszawskiego.

★

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI: — Odchodzenie jest sprawą intymną. Odbywa się w ciemności, jest aktem dokonywanym często wobec samego siebie. Mówienie o tak wewnętrznej, osobistej kwestii jest rzeczą kłopotliwą. Niemniej wierzę, że potrafimy mówić o tym szczerze i rozumnie, odnajdując w „sztuce odchodzenia" nie tylko problematykę etyczną, lecz również politologiczną — wnosząc ją przed „trybunał rozumu".

WINICJUSZ NAROJEK: — Zaryzykuję od razu własną hipotezę:

CIĄG DALSZY NA STR. 8—9

Z cyklu

polskie duszki Andrzeja Podulki

chochlik prasowy

To on ponosi całkowitą odpowiedzialność za dezinformację, z którą się na co dzień spotykamy. Złośliwa bestia z rodziny czortów. Nie mylić z Dziennikarzem!!!

NIE DAJMY SIĘ BIEDZIE

Ość w gardle

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSCY

Kiedy wjeżdża się wąską ścieżką w las, nie widać jeszcze ani młyna, ani rzeki. A zresztą Pukawka to nie rzeka — za mała i za czysta. Najpierw więc przez gęstą zieloność przebija czerwień volkswagena, potem dochodzi donośne ujadanie psa. Widać też dom. Stary, trochę osmalony, jakby po niewielkim pożarze.

W domu tylko gospodyni. Właśnie udało się jej uśpić bobasa, więc może pozwolić sobie na krótki odpoczynek przy kawie i papierosie: — Andrzej powinien wrócić za dwie godziny. Pojechał do Brańska coś załatwić. Coś, bo nigdy nie wiadomo, czy załatwi się akurat to, co się chciało. Już dwa lata trwa ciągłe załatwianie. Od roku obserwuję to na co dzień. Teraz już wygląda prawie przyzwoicie, ale do niedawna... Pejzaż absolutnie księżycowy. Znajomi mówili: fantastyczny widok, okoliczni chłopi kręcili głowami. Tylko Andrzej widział w tym coś sensownego. Niedługo kończy mi się urlop macierzyński i będę musiała gdzieś się zatrudnić. Całe szczęście, że nie jestem architektem albo konstruktorem maszyn lotniczych. Ale i stomatologa mało kto tu wygląda z utęsknieniem. Czeka mnie też problem z dzieckiem. W Zuzeli nie ma żłobka. Będę chyba musiała wozić je z sobą do Nura. Trudno, nie ma zysków bez strat. Obiektywnie rzecz biorąc — na razie same straty, ale niech ktoś powie, że bez znaczenia w obecnej sytuacji jest dobre mleko, masło, jaja, mięso. No i wspaniałe, żywiczne powietrze, które jest naszą prywatną własnością.

Gospodarstwo rzeczywiście imponujące. A ile pieniędzy już na to poszło?! Chyba miała rację mgr Maria Kuleszowa z Urzędu Wojewódzkiego, że około dwóch milionów. Taka była śmiesznie zakłopotana, kiedy musiała odpowiedzieć na pytanie: „Do czego sprowadza się w tej kwestii ich, Wydziału Rolnictwa, rola?" Milczała bardzo długo, a potem wykrztusiła, że „Może... ten... materiał zarybieniowy... Ale prawdziwa droga to przez Urząd Gminy. Pasze? To zadanie dla Zrzeszenia". Najłatwiej przeszła jej przez gardło opinia, że materiał zarybieniowy jest problemem ogólnopolskim, a w ogó-

CIĄG DALSZY NA STR. 6—7

zdarzenia

JEST ŹLE A JEDNAK — DOBRZE, przynajmniej w Łomżyńskiem. Taki wniosek można wysnuć z lektury analizy spisu rolnego pogłowia zwierząt, według stanu z lipca 1981 roku. Z danych wynika, że zahamowano dalszy spadek hodowli wszystkich gatunków zwierząt, chociaż globalnie spadek się nieco pogłębił: (krów o 2,1 procenta, trzody chlewnej — o 1,4). W konkretnych liczbach wygląda to następująco: w I półroczu br. skupiono 4515 krów i 7965 macior, gdy w tym samym okresie roku ubiegłego — 6378 krów i 6931 macior.

Jeżeli w 20 gminach odnotowano wzrost pogłowia w stosunku do lipca ubiegłego roku, to również w 20 — spadek. Autorzy tego metafizycznego zestawienia pocieszają nas, że obecnie istnieją warunki do odbudowy stada, a tym samym zmniejszenia za rok kolejek po mięso.

Tę pomyślną prognozę oparto m. in. na przewidywanym wzroście zbioru ziemniaków o 50 procent, buraków cukrowych — o 70, innych pasz — o około 30 procent, obfitszych w tym roku plonach zbóż.

NA XXIII ZWYCZAJNEJ SESJI MRN w Łomży oceniono realizację planu społeczno-gospodarczego i budżetu miasta za I półrocze br. Nie jest zadawalająco. Potwierdziła to również dyskusja. **STANISŁAW SOSNOWSKI:** — Tam, gdzie jest pełne pokrycie reglamentowanego towaru nie powinno być kolejek. To że są jest wyłącznie efektem złej organizacji działań przez handlowców. **TADEUSZ OLEJNICZAK:** — W sierpniu w Nowej Soli kupowałem bez kłopotu na kartki kiełbasę myśliwską, żywiecką i polędwicę. Dlaczego nie można tego dostać w Łomży? **BRONISŁAW MAKIEŁŁO:** — Sklepy specjalistyczne, gdzie sprzedaje się reglamentowane artykuły trzeba zamienić na ogólnoasortymentowe. Towaru nie ma tak dużo, a klient mógłby realizować kartki na różne produkty w jednym miejscu; **JERZY SZYMAŃSKI:** — Kto w końcu zrobi bilans uzależnień Łomży od Białegostoku i Ełku? Wciąż coś tam wywozimy, a wcale nie musimy. Dlaczego np. Izba Rzemieślnicza w Białymstoku ma nam dyktować co mamy robić w Łomży; **STANISŁAW BAGIŃSKI:** — Stropy budynku WDK grożą w każdej chwili zawaleniem. Nie ma gdzie przenieść zespołu Pieśni i Tańca „Łomża", który będzie musiał — chyba zawiesić działalność; **MARIAN CHOJNOWSKI:** — Prezydent powiedział, że obecne pokrycie kartek na mięso i wędliny wynosi w Łomży 75 proc., ale przemilczał, że 20 proc. tego towaru została przekazana, nie bardzo wiadomo gdzie. Faktyczne pokrycie na wrzesień jest więc 50-procentowe, a trzeba pamiętać, że jeszcze nie zrealizowano połowy kartek za sierpień. Łomża ma dokładnie 0 proc. pokrycia w towarze. W województwie stoi bezczynnie 13 ubojni, a w Łomży — masarnia. Gdyby, jak w innych województwach, nie dopuszczać do wywozu żywca i bić na miejscu mielibyśmy krew i podroby na niektóre asortymenty wędlin na własne potrzeby. Nota bene: Z każdych 100 kg mięsa przewiezionych na odległość 100 km, 6 kg musi iść na straty. Jest to prawidłowość obiektywna. Na wysypisku śmieci w Śniadowie leżą arbuzy, marchew, kiszone ogórki; **STANISŁAW CIUPA:** — W kraju rysuje się sytuacja wręcz groźna. Musimy być przygotowani, że wojewódzki sztab antykryzysowy może podejmować decyzje z dnia na dzień, bez uzgadniania z kimkolwiek.

WYDZIAŁ ZDROWIA i Opieki Społecznej Urzędu Wojewódzkiego w Łomży powołał Wojewódzki Zespół do Spraw Zagranicznych Dostaw Socjalnych. Jego przewodniczącym został lekarz wojewódzki Konstanty Znosko. W skład zespołu wchodzą przedstawiciele służby zdrowia, Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej, Kurii Biskupiej, Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego, NSZZ „Solidarność". Zespół czuwa nad właściwym przyjmowaniem, magazynowaniem, transportem i rozdziałem darów. Dostawy takie nadchodzą do Łomżyńskiego za pośrednictwem PCK, PKPS, Polskiej Rady Ekumenicznej, Episkopatu Polskiego i organizacji CARE.

KONSTANTY ZNOSKO: — Dotychczas otrzymaliśmy 16 ton gruszek z Francji. Rozdzielamy je do poszczególnych szpitali, internatów, szkół specjalnych, domów pomocy. Czekamy na 5 ton odżywki ze Szwecji. O innych dostawach na razie nic nie wiem.

PO DŁUGICH i bezowocnych sporach między rolnikami kołakowskiej gminy w sprawie powołania Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych, w ostatnich miesiącach zapanowała zgoda, bowiem wstąpili do Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „Solidarność". W tej chwili ponad 40 procent rolników Kołaków Kościelnych jest już zrzeszonych w NSZZ RI. W skład Gminnego Zarządu wchodzą: Józef Ostrowski i Jan Soligowski z Guni, Tadeusz Łuniewski ze Szczodruchów, Helena Gacka z Gosi Dużych, Lucjan Jambrzykowski z Łętowa.

W NIEDZIELĘ 20 września br. odbędą się wybory do władz wojewódzkich Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „Solidarność". Organizacja ta liczy w Łomżyńskiem przeszło 20 tysięcy członków. Tylko w czterech gminach nie działają zarządy tego związku.

WRZESIEŃ TO MIESIĄC, w którym dzieci przypominają o swoim istnieniu i potrzebach. Prawie dla tysiąca malców w woj. łomżyńskim zabrakło miejsca w przedszkolach. Najciężej jest z miejscami w Łomży. Nieco polepszono sytuację uczniów szkół podstawowych, zwłaszcza na wsiach. 63 szkoły z czterolatek stały się ośmiolatkami. Dzięki temu dla wielu dzieci skończą się uciążliwe dojazdy. Dla tych, którzy nadal muszą dojeżdżać dano 4 nowe autobusy i 8 przyczep ciągnikowych. Pytanie tylko, czy powszechne kłopoty z paliwem i częściami zamiennymi nie uczynią z tych pojazdów na nic nieprzydatny złom. Starsza młodzież otrzymała możliwość nauki w dwóch nowych szkołach: 6-letnim Studium Wychowania Przedszkolnego w Wysokiem Mazowieckiem oraz w zasadniczej szkole zawodowej, kształcącej ogrodników terenów zielonych.

A potrzeby nauczycieli? W siedmiu miejscowościach trwa budowa domów właśnie dla nich. Województwo odczuwa dotkliwy brak kadr pedagogicznych. 280 etatów, głównie w gminie: Turośl, Radziłów, Sokoły i Grabowo, jest nie obsadzonych. Kuratorium chwytając się ostatniej deski ratunku zatrudniło ludzi bez odpowiednich kwalifikacji. Mają je uzyskać po rocznym kursie. Efekt nauczania przez taki personel jest z góry do przewidzenia.

Alarmujemy: dzieci będą marzły w szkołach zimą. Zaopatrzenie w opał w dniu 1 sierpnia — 22 proc. potrzeb.

ORGANIZACJE ZWIĄZKOWE z 20 grajewskich zakładów pracy i przedsiębiorstw utworzyły Miejsko-Gminną Komisję Porozumiewawczą Branżowych Związków Zawodowych. W skład prezydium Komisji weszli między innymi: Jan Makowski z Rejonowego Przedsiębiorstwa Melioracyjnego, Bożena Gumińska z Zakładów Pasmanteryjnych, Henryk Różyński ze Spółdzielni Kółek Rolniczych, Marianna Junak ze Spółdzielni Mieszkaniowej, Jerzy Krasnoborski z Urzędu Miasta i Gminy, Henryk Maciejewski z Fabryki Wag. Do zadań Komisji należy reprezentowanie interesów pracowniczych wobec miejscowych władz, pełna informacja o życiu związkowym oraz troska o zwiększenie wydajności pracy, wzmocnienie dyscypliny, polepszenie warunków socjalnych. Podobne komisje powstały w Rajgrodzie i Szczuczynie.

myśl z atestem

Miej oczy i uszy otwarte a usta otwieraj powoli.

(Przysłowie ludowe)

zdanie tygodnia

Czas przestać wyliczać wszystkie grzechy, bo to wyliczanie niczego nie buduje.

Prymas Polski J. Glemp.

pytanie drażliwe (1)

— Kraj przelicza kilka razy każdego dolara, a tu setki kilogramów importowanej przez wasz Zakład bawełny, jeszcze w oryginalnych opakowaniach, leży sobie na okolicznych... polach! Bezmyślne marnotrawstwo!?

Odpowiada zastępca dyrektora do spraw handlowych Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego, Mieczysław Cil: — Wręcz przeciwnie! Jest to właśnie świadectwo naszej gospodarności. Zgadza się, że opakowania są oryginalne, ale nie zawierają bawełny, lecz o d p a d y — martwe, krótkie włókienka, kurz, tzw. torebki i inne zanieczyszczenia — nie nadające się do produkcji ani do wykorzystania przez centralę surowców wtórnych. Te bezużyteczne odpady biorą się stąd, że cały proces oczyszczania otrzymywanej przez nas bawełny, w dodatku najgorszej jakości, dokonywany jest w naszym zakładzie. Aby je maksymalnie wykorzystać są one opakowane w oryginalne, nieprzydatne do innych celów opakowania po bawełnie oraz włóknach syntetycznych i przekazywane rolnikom. Świetnie nadają się bowiem do okrywania kopców, a nawet na ściółkę. Dlatego pod koniec lata, a zwłaszcza jesienią, można spotkać na polach w okolicy Zambrowa „importowaną bawełnę w oryginalnych opakowaniach" (patrz zdjęcie).

pytanie drażliwe (2)

Mimo podwyżki cen artykułów mącznych nadal musimy kupować kiepskiej jakości pieczywo. Zaś bułki, rogale i inne drobne wyroby piekarskie pojawiają się na krótko. Wysłużony argument, że rolnicy powodują te kłopoty, wykupując chleb na pasze nie znalazł potwierdzenia, choć w niektórych wypowiedziach nadal upowszechnia się taki pogląd. Czy możemy wreszcie liczyć na poprawę zaopatrzenia w pieczywo, lepszą jego jakość?

Dyrektor Wydziału Handlu i Usług UW w Łomży, Zygmunt Maziński: — Nowe ceny na pieczywo wcale nie zmniejszyły popytu, a od tego w głównej mierze zależy zmiana sytuacji na lepsze. Łomżyńskie piekarnie nadal pracują w wielkim pośpiechu, na styk. Mąkę dostarcza się jeszcze ciepłą, a powinna ona leżakować około dwóch tygodni.

Odpowiedzialni za zaopatrzenie w pieczywo obiecują radykalną poprawę stanu zaopatrzenia w najbliższych tygodniach. Nie są to obietnice bez pokrycia. Właśnie zakończono remont łomżyńskiego młyna, którego produkcja wpłynie dodatnio na zaopatrzenie w mąkę i jej jakość, a przynajmniej ograniczy dowóz mąki z województwa suwalskiego, czy... koszalińskiego.

Doradcy rolników, których teraz mnóstwo, uważają, że kłopoty z pieczywem zakończą się wówczas, kiedy rolnicy sami zajmą się pieczeniem chleba na własne potrzeby. Zdopingowani przez nich łomżyńscy bednarze obiecują ruszyć pełną parą z produkcją dzieży.

Komentarz: Trudno popierać pomysł, by wieś łomżyńska powracała do gospodarki naturalnej. Bowiem wówczas może być trudniej o mąkę na miejski chleb.

punkt widzenia

podzwonne dla nakazów

Wspólne obrady Egzekutywy KW PZPR i Prezydium WK SD poświęcone przemysłowi drobnemu, usługom i rzemiosłu, potraktowałem jako sprawdzian świeżości myślenia ich uczestników. Takie spotkania miały kiedyś charakter nabożeństwa, na którym „czytano z jednej książki". Zgodnie i uroczyście.

Z celebry tej dziś już chyba niewiele zostało. Dostrzegłem natomiast pilne starania uczestników, żeby w „temacie tym" było jakoś po nowemu. Stąd prawie pospólna dezaprobata dla przygotowanej „w zupełnie starym stylu" przez Urząd Wojewódzki w Łomży „Oceny stanu istniejącego oraz kierunków rozwoju".

Głosy: „Żadnego tu pomysłu, żadnej inicjatywy"; „Brak analizy porównawczej"; „W podejściu do problemu nie wyczuwa się tętna czasu" — zapowiadały feerię propozycji a przynajmniej tworzenie klimatu dla niej. Tymczasem obrady wypełniła obrona dwóch stanowisk.

Zwolennicy pierwszego uznali, iż nie ma sensu cokolwiek planować i wymyślać, skoro reforma gospodarcza wypuściła dopiero sondę w postaci uchwały Rady Ministrów Nr 112, luzującej więzy drobnej wytwórczości. (A i nawet do niej nie ma jeszcze przepisów wykonawczych). Kontrstanowisko za którym opowiedziała się większość można wyrazić wezwaniem: Nie czekać, nie zwlekać. Nie trzeba aż reformy, aby rzemieślnicy otrzymali wreszcie place pod budowę pawilonów usługowych, lekarze mogli zorganizować własną spółdzielnię, by powstało choć kilka na początek prywatnych żłobków; przeprosić stare młyny, mleczarnie, masarnie, piekarnie, pomóc chałupnikom w zaopatrzeniu w surowce.

A możliwości jest tu bez liku. Przedstawiciele rzemiosła wytknęli, że np. fabryka mebli w Łomży upłynniła 7 obrabiarek aż do Szczecina, nie wiedząc — czy też nie chcąc wiedzieć, że takie właśnie obrabiarki potrzebne są od zaraz łomżyńskiemu rzemiosłu.

Takich paradoksów, co wykazano w dyskusji, wcale nie trzeba szukać ze świecą w ręku. Możliwości poprawy usług zwiększenia produkcji drobnej wytwórczości i w ogóle przyjścia z pomocą mieszkańcom w ich życiu codziennym jest znacznie więcej, niż chce je dostrzegać administracja. Jeśli ma kłopoty ze wzrokiem, to może zacznie pilniej słuchać choćby sygnałów organizacji partyjnych, kół SD, radnych.

— Coraz bardziej upewniam się — zauważył jeden z uczestników dyskusji — że ludzie odpowiedzialni za rozwój usług czy drobnej wytwórczości więcej czasu trawią na udowadnianie, jak czegoś nie można zrobić niż na obmyślanie sposobów, jak ruszyć z miejsca. I pewnie m.in. dlatego Łomżyńskie jest w usługach znacznie poniżej średniego poziomu krajowego; w licznych jeszcze gminach brak nie tylko usług motoryzacyjnych, radiowo-telewizyjnych, ale nawet fryzjera.

Podczas omawiania wniosków skontrowano zbyt szczegółowe ustalanie zadań dla zakładów. — Nadal w jednej sali mówimy o samodzielności, o reformie przedsiębiorstw, a w drugiej chcemy przyciskać, nakazywać kto, co, gdzie.

W tej sprawie wypowie się wkrótce wspólne plenum wojewódzkich instancji partyjnych — PZPR i SD. Miejmy nadzieję, że doświadczenie i pomysłowość członków instancji przyjdą w sukurs drobnej wytwórczości i usługom. (zag)

polski dylemat

przeciw świętej wojnie

Piszę te słowa na niewiele godzin przed Zjazdem „Solidarności" i kolejnym plenum KC, nie sądzę jednak, aby to, co mam do powiedzenia, mogło być zdezaktualizowane przez obrady obu tych ciał, jakiekolwiek byłyby ich wyniki. Warunki bowiem „wyjścia na prostą" zarysowują się coraz wyraźniej. Mijają czasy ideologicznych połajanek. Pora zrozumieć, że domeną ideologii są wartości podstawowe społeczeństw, ich klas i warstw, albo wyodrębniających się grup, które na te społeczeństwa się składają. Jeżeli ktoś dobrze zna problemy, związane z tymi kardynalnymi wartościami, bo w nich się specjalizował albo po prostu nauczył się nimi manipulować, to z tego jeszcze nie wynika, że jest kompetentny w dziedzinie bezpośredniej praktyki społecznej i politycznej, a więc w problemach organizacyjnych, gospodarczych czy prawnych. A właśnie wstąpiliśmy w okres, w którym te zagadnienia muszą dominować. Ich rozwiązanie będzie decydowało o naszej przyszłości. Koniecznością jest zatem o d i d e o l o g i z o w a n i e sporów i p r a g m a t y c z n e do nich podejście. Różnice ideologiczne nie wykluczają ani negocjacji, ani porozumień, tylko trzeba nareszcie zrozumieć, że problemy ideologiczne nie mogą być przedmiotem negocjacji ani ich zakłócić. Porozumienia należy szukać w sferze, w której jest ono w ogóle możliwe, a więc — powtarzam — w sferze pragmatycznej.

Po wtóre: wobec żywiołowo przejawiającej się tendencji do nowego przegrupowania sił społecznych zachodzi pilna konieczność podjęcia wysiłku, który doprowadziłby do politycznej i moralnej izolacji grup, dążących do ideologicznej konfrontacji, do świętej wojny, mającej na celu unicestwienie przeciwnika — dżihad — a więc do iranizacji Polski. Dążenie do rozkładu „Solidarności", z jednej strony, a likwidacji PZPR z drugiej — to marzenia głupców. Źródłem tych marzeń jest rozległa ignorancja w temacie procesów społecznych i politycznych, jakie rozwijają się w naszym narodzie i w świecie, od którego nie jesteśmy izolowani. Alternatywnym efektem zacietrzewionego działania obu grup ultrasów byłoby pogrążenie społeczeństwa w apatii i marazmie, całkowite zmarnowanie wielkiego kapitału nadziei, jaki uciułaliśmy wczesną jesienią ubiegłego roku. Strzeżmy się rozczarowania całego narodu!

Natomiast jeżeli obie te dwie wielkie siły wykorzystają podwójną lojalność wielkiej rzeszy ludzi, którzy należą zarówno do „Solidarności", jak i do PZPR, moglibyśmy wejść na drogę rozwoju, która zmierza, jak mawiał Tadeusz Kotarbiński, do p o w o d z e n i a c a ł o ś c i.

Trzeba jak najszybciej zamknąć ten „Traktat o złej robocie", który zacietrzewieni ignoranci pisali cały ubiegły rok. Zamiast tego trzeba nawiązać do owego udanego pierwszego rozdziału, którego treścią było wielkie porozumienie 1980 r. Przed nami ostatnia szansa, aby przywrócić klimat nadziei tych niezapomnianych dni.

Po trzecie: trzeba z powagą podejść do faktu, że roli Wielkiego Mediatora podjął się Kościół i jego mądrzy pasterze. Zmarnowanie ich wysiłków byłoby wysoce nierozumne.

To, co piszę, nie jest jakąś wizją przemożnej triady. „E k s p l o z j a p l u r a l i z m u" w Polsce, pluralizmu, o którym do niedawna można było tylko szeptać po kątach, wyniosła na powierzchnię życia publicznego tak wielką aktywność szerokich rzesz intelektualistów i inteligentów, jakiej nie byliśmy świadkami od czasów ponownego odrodzenia państwa po drugiej wojnie światowej. Powstała szansa również autentycznej działalności partii ludowców, demokratów i organizacji politycznej katolickiego laikatu. A cóż dopiero mówić o niesłychanej aktywności chłopów, młodzieży akademickiej i tej poza wielkimi uczelniami? Wszystko to stanowi bezcenny kapitał. Czy mamy go też zmarnować?

Pamiętajmy jednak, że pluralizm nie znający granic, pluralizm jedynie pogłębiających się różnic zawsze zmierzać będzie najkrótszą drogą do anarchii. Potrzebna jest siła jednocząca w sprawach podstawowych i bardziej szczegółowych, co do których możliwy jest kompromis, trwały kompromis.

Po czwarte: najbardziej udane kompromisy, dotyczące spraw ważnych, ale wycinkowych, nie mogą wystarczyć, w sumie muszą one tworzyć n o w y s y s t e m. Przecież do tego wyraźnie zmierzamy.

I dlatego konieczne jest otworzenie debaty, w toku której można by — w atmosferze spokoju, wolnego od presji bieżących decyzji i publicystycznego zgiełku — wypracować podwaliny naszego, głęboko zreformowanego, systemu socjalistycznego. Trzeba debaty nie tylko nad palącymi kwestiami, które muszą być rozwiązane jutro, ale również nad problemami ukazującymi pewną perspektywę. Nie możemy wciąż płynąć na fali, nie wiedząc, dokąd nas niesie. Każdy wielki ruch społeczny musi mieć charakter żywiołowy, musi nieść w sobie elementy chaosu, w którym do głosu dochodzą emocje. Ale potem nadchodzi czas chłodnej rozwagi i czas organizacji.

Toteż debata nie może się od razu zaczynać na wielkiej narodowej scenie; musi się rozpocząć najpierw w węższym gronie. W pierwszym etapie powinna się ona toczyć w — powołanej w tym celu — a u t o r y t a t y w n e j k o m i s j i k o n s t y t u c y j n e j. Powinni się w niej również znaleźć ludzie, którzy tak umiłowali ideologię, że chcą ją wszędzie i zawsze stosować. Będą mieli doskonałą okazję, żeby również wnieść swój wkład do trudnego dzieła tworzenia nowej Konstytucji, takiej na miarę dokonujących się przemian. Wyniki prac tej komisji nie powinny budzić niczyjej wątpliwości.

Co znaczy „odnowa"? Nie może to być nic innego, jak tworzenie Polski p r a w d z i w i e ludowej. Ludowej w odczuciu całego narodu.

STANISŁAW EHRLICH

nadzieje i zwątpienia

kontakty kontaktów

W nawiązaniu do notatki opublikowanej w „Kontaktach" nr 31/81, dotyczącej światła na Osiedlu Młodych informuję, że uzbrojeniem podstawowym tego terenu zajmuje się bezpośredni inwestor — Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich w Łomży. Termin (30 IV 81 r.) zakończenia budowy linii energetycznej padł właśnie z ust inwestora.

Niedotrzymanie tego terminu — według wyjaśnień WDRMiOW — nastąpiło ze względu na konieczność koncentracji całego potencjału wykonawcy, to jest Białostockiego Przedsiębiorstwa Instalacji Elektrycznych, na budowie Osiedla Jantar.

W dniu 18 VIII br. odbył się komisyjny odbiór zadania. Ze względu na usterki wykonanej linii energetycznej roboty nie zostały odebrane. Według zapewnień wykonawcy wszystkie wykazane usterki zostaną usunięte do 15 IX 81 r. i tym samym linia będzie mogła być, po ponownym komisyjnym odbiorze — przekazana do eksploatacji.

Jednocześnie pragnę poinformować Redakcję i Czytelników, iż zasiedlenie budynku na osiedlu domów jednorodzinnych nie jest równoznaczne z pozyskaniem mieszkania spółdzielczego lub z rad narodowych. Powyższe wynika z faktu, iż inwestorami są w przeważającej części obywatele spoza miasta Łomży, jak również ze względu na fakt, że po rodzinie wyprowadzającej się do wybudowanego domu w mieszkaniu dotychczas zajmowanym pozostaje inna rodzina, uprawniona w myśl przepisów prawa lokalowego do jego zajmowania.

W związku z powyższym uzysk mieszkań z tego tytułu wynosi w granicach co najwyżej 15, a nie — jak sugeruje autor notatki — 100 procent

Mgr JERZY NEWELSKI
Prezydent miasta

★

W roku 1979 brałem udział w czynie partyjnym, Była to praca pożyteczna — ogródek zabaw dla dzieci na Osiedlu Jantar. Tego samego dnia na ulicy Zamiejskiej (tu mieszkam) też odbywał się czyn partyjny. Na całej długości ulicy rozebrano nawierzchnię — bruk. Przypuszczałem, że może będzie budowana kanalizacja. Od tego czasu minęły 3 lata, a żadnych dalszych prac nie widać. Kto wydał polecenie przygotowania takiego frontu robót na czyn partyjny? Rozbabrana ulica szpeci wjazd do miasta, a po ulewnych deszczach staje się drogą nie do przebycia.

Czytelnik z Łomży (nazwisko znane redakcji)

★

W odpowiedzi na notatkę prasową dotyczącą sprzedaży mebli z importu zamieszczoną w 33/81 numerze „Kontaktów", w rubryce „Spięcia" Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego w Łomży wyjaśnia, że umowy na meble z importu zawierają w imieniu WPHW: Centrala Handlu Zagranicznego „Paged" i Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego „Torimex". Instytucje te wystawiają też faktury na meble dostarczane przez zagranicznych kontrahentów bezpośrednio do sklepów na terenie całego kraju. Faktura była dotychczas dokumentem uprawniającym do sprzedaży mebli, gdyż sklep otrzymywał meble nie metkowane, a dokumenty dostaw nie zawierają informacji cenowej.

Przedsiębiorstwa handlu zagranicznego mają obowiązek fakturowania dostaw w okresie 7 dni od chwili otrzymania z punktów granicznych zgłoszenia celnego. Biorąc pod uwagę fakt, że zgłoszenie celne dociera często ze znacznym opóźnieniem oraz że wypisywana faktura jest jeszcze przekazywana do potwierdzenia przez bank, często otrzymywaliśmy ją dopiero po upływie miesiąca od momentu dostawy mebli. Zawsze w dniu otrzymania faktury natychmiast sporządzaliśmy metki cenowe i sprzedawaliśmy meble.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

historia i dzień dzisiejszy

MÓJ WRZESIEŃ

marzenia w depozycie

Gdy przy ulicy generała Józefa Bema w Łomży, naprzeciwko osiedla Jantar, penetrowałem ostatki chłopskich gospodarstw, z niskiego murowanego domku dobiegł mnie śpiew:

„Co za tuman po drodze się wzbija?
Co jaskrawo tak w słońcu się lśni?
To Kopowski Dywizjon przybywa,
By zajmować kwatery naszyi.
To kopowski dywizjon przybywa,
By zajmować kwatery naszyi.

Ostróg dźwięk śmiechem dziewcząt zmieszany
Po kwaterach rozlega się głos.
To przed bitwą bawią się ułani,
Wciąż przechodzi z rąk puchar do rąk
To przed bitwą bawią się ułani.
Wciąż przechodzi z rąk puchar do rąk.

A gdy ranne już zorze świtają
I na polach unoszą się mgły,
To ułani na konie siadają
Zostawiając marzenia i sny.
To ułani na konie siadają
Zostawiając marzenia i sny!"

Kto w tej części miasta mógł śpiewać tę starą ułańską pieśń? Zapukałem do drzwi, lecz nikt nie zaprosił. Lekko je uchyliłem i wszedłem do środka. Śpiewak siedział w drugim pomieszczeniu — na inwalidzkim wózku, zapatrzony w okno. Usłyszawszy kroki, pociągnął za szprychy swego pojazdu i odwrócił się w moim kierunku. Siwe, opadające na czoło włosy czyniły z niego starca, ale czerwstwa twarz i roziskrzone oczy zdawały się zaprzeczać pierwszemu wrażeniu.

Niespodziewana wizyta dziennikarza nie speszyła gospodarza, lecz nastroiła do zwierzeń: — Rozpoczął się mój kolejny, 42, tragiczny wrzesień. Może dziwnie to brzmi, ale właśnie miesiąc, w którym rozpętała się ta straszna wojna, jak zła karta przebija wszystkie inne miesiące. Zawsze we wrześniu nawiedzają mnie wspomnienia i obrazy ciężkich, żołnierskich, frontowych przeżyć. Droga naprzeciw mojego domu, zarośnięta drzewami i pełna deszczowych kałuż, przypomina mi wiele tamtych dróg, po których pędziliśmy w dzień i noc — z coraz mniejszą brawurą, coraz bardziej wyczerpani. Brakowało żywności, snu, wszystkiego. Byliśmy jednak „silni, zwarci, gotowi", jak tego od nas wymagała kłamliwa, napuszona propaganda. Z początku naprawdę wierzyłem, że Polska nie odda wrogowi nawet guzika.

W roku 1938 uczestniczyłem w wielkich manewrach wołyńskich. Porządnie dali nam w kość, ale na koniec na defiladzie przed Rydzem Śmigłym trzymaliśmy się twardo. Było to w Łukowie na Ukrainie. Czuliśmy się silni, niepokonani, gotowi iść na zmiażdżenie każdej światowej potęgi. Prasa i radio na temat autentycznej sytuacji Polski prawie nic nie podawały. Trochę mnie poruszyła mobilizacja w marcu 1939 roku, ale przecież wkrótce została odwołana.

Ponieważ na nic złego się nie zanosiło, myślałem o zakończeniu służby i powrocie do domu. Ojciec niewiele mógł już robić, a ja byłem najstarszym synem. Od wczesnych lat obrabiałem pole. Rodzice wychowali mnie na gospodarza, chociaż mieli ode mnie dwie starsze córki. One pomagały przeważnie w domu, bo hołdowały zasadzie: „Kobieta do garów". Smutek więc był niemały, gdy zapragnąłem na ochotnika pójść do wojska. Ojciec mówił: „Niech idzie. Zaliczy i będzie miał kłopot z głowy". Matka pochlipywała z cicha, a żegnając mnie, powiedziała: „Leon, zostań, bo, nie daj Boże, coś ci się przytrafi..."

Wielką atrakcją była dla mnie pierwsza podróż pociągiem. Zawsze stawiałem sobie pytanie, jak on może jechać bez koni. Usiadłszy w wagonie uchwyciłem się ławki, bo sądziłem, że przy ruszaniu bardzo mocno szarpnie. Potem czułem się co najmniej Magellanem.

We wrześniu, na wieść o wybuchu wojny, pomyślałem: „Teraz dopiero zaczną się przygody. Stanę się Polsce bardzo potrzebny". Wierzyłem w jej zwycięstwo, tym bardziej że w wojsku powiadali nam: w czasie I wojny światowej Hitler był tylko malarzem, a młodziutki Rydz Śmigły — już kapralem! Dziwiłem się naiwności Niemców, że pod rozkazami tego dziwnego człowieka marzy im się podbój Polski. Na zewnętrznej stronie koszar coraz częściej pojawiały się złowrogie napisy:

„Jeszcze Polska nie zginęła,
Ale zginąć musi,
Gdy jej Niemiec nie wybije,
Cholera wydusi."

Byliśmy tak pewni zwycięstwa, że nawet na dywersantów nie zwracaliśmy szczególnej uwagi. O każdej godzinie zachowywaliśmy pełną gotowość bojową. Do snu mogła rozebrać się tylko połowa oddziału. Pozostałym regulamin pozwalał rozpiąć kołnierzyk koszuli i rozluźnić pas.

Pewnej niedzieli świąteczny spokój zakłócił alarm bojowy. Do koszar zbliżały się duże odziały nieprzyjaciela. Major popatrzył na przedpole i wydał rozkaz wymarszu bramą gospodarczą. Wcześniej spaliliśmy książeczki wojskowe i inne ważne dokumenty. Z każdą godziną przybywało uciekinierów. Próbowały atakować nas, zwłaszcza na postoju, grupki dywersantów. Zmierzaliśmy do Bugu, by połączyć się z siłami Brygady Podlaskiej generała Kleeberga.

Miałem bardzo dobrego konia. Wystarczyło tylko zawołać: „Ereb, klęknij", i Ereb klękał. Wywoływał tym podziw całego oddziału, a za każdy „występ" otrzymywał odpowiednią porcję chleba, nawet przy głodowych racjach. Ereb wcale nie jadł siana, nadwyżki paszy szły więc dla pozostałych koni.

Rumak był oczkiem w głowie każdego z nas. Podczas inspekcji przytrafiało się i tak, że oficer głaskał wierzchowca w białej rękawiczce. Niech znalazł gdzieś choć szczyptę kurzu! Aby uniknąć nagany, smarowaliśmy nasze rumaki skórką słoniny lub naftą. Lśniły wtedy z daleka. Raz dowódca plutonu rozkazał nam końskie kopyta wyczyścić pastą do butów. Zrobiliśmy to w mig, bo byliśmy przekonani, że tak trzeba. Zresztą: rozkaz to rozkaz. Przyszedł oficer i kazał zeskrobywać. Dostało się i nam, i naszemu dowódcy. Więcej już takich poleceń nie wydawał.

W drodze do generała Kleeberga coraz bardziej uświadamiałem sobie ogrom zniszczeń i okropności wojny. Naloty, pożary, trupy. Tłumy uciekających niosły toboły, tobołki. Inni jechali załadowani furmankami. Patrzyłem na tych ludzi i dziwiłem się: „Dokąd uciekali! Czyż mogli być bezpieczni gdzie indziej, jeśli zabrakło im spokojnego kąta w ich rodzinnym mieście, w swojej wsi?" Pomyślałem sobie, iż nigdy w takiej sytuacji nie opuściłbym ani domu, ani swojej ziemi.

Zajechaliśmy do jednej wsi. Wyszedł z domu staruszek i powiada: „Panowie, uważajcie, tu są zbóje. Ukryli się przed wami w tej stodole. Jeśli się nimi nie zajmiecie, to po waszym odjeździe całą wioskę puszczą z dymem". Siedmiu pojmaliśmy, a ósmy uciekł. Musiało ich być więcej, bo po opuszczeniu przez nas zabudowań rzeczywiście wieś podpalili. W innej miejscowości zastaliśmy zupełnie opuszczony dworek. Wpadłem do obory, bo chciałem choć kilka kropli mleka. Pociągnąłem jedną krowę, drugą, ale gdzie tam! Już tacy mądrzy byli przede mną.

Po dołączeniu do wojsk Kleeberga poczuliśmy się prawdziwymi żołnierzami: cekaemy, erkaemy, działka przeciwlotnicze, tabory z żywnością. Ale pomimo tej poprawy sytuacji czułem się bardzo przygnębiony. Dotarła do mnie wieść o zagarnięciu Łomży. Jakby mi ktoś nóż wbił w plecy. Tymczasem generał kierował nas prosto na Warszawę. Na dobre zmierzyliśmy się z Niemcami pod Kockiem. Zaciekłe boje trwały kilka dni. Istny koniec świata. Wtedy zrozumiałem, czym dysponuje nieprzyjaciel, a czym my. Było akurat odwrotnie, niż głosiła propaganda.

Osobiście nie znałem generała Kleeberga. Dowodził nami z Krzywdy, wsi pod Kockiem. Raz podjechał do nas mercedesem z podziurawionym bagażnikiem Kmicic Skrzyński. Zwrócił mi uwagę, że niedobrze mam okopany karabin. Szybko wziąłem się do roboty.

W nocy nie paliliśmy ognisk, nie dawaliśmy znaków życia. Obowiązywała największa ostrożność. Ale pewnego dnia, tuż przed samym zmierzchem, otrzymaliśmy zgodę na rozpalenie. Bardzo nas zdziwiła ta nagła zmiana decyzji przełożonych. Wkrótce dowiedzieliśmy się od dowódcy, że generał Kleeberg udał się do Niemców — wraz z niektórymi oficerami — aby omówić warunki naszej kapitulacji. Wrócił po pewnym czasie i odczytał rozkaz: „Nie demobilizuję was, a rozpuszczam, bo na pewno przydacie się ojczyźnie". Odśpiewaliśmy hymn. Każdy żołnierz awansował o jeden stopień i otrzymał żołd w wysokości stu złotych. Zgodnie z warunkami kapitaulacji mieliśmy zdać Niemcom całą broń. Najdroższe egzemplarze zostały starannie zakonserwowane i złożone do ziemi — na lepsze czasy. Konwojowali nas przez całą noc, do Modlina. Tam rozpuścili równocześnie i nas, i konie. Część żołnierzy została stratowana. Zaczął się czas niewoli o jednym posiłku dziennie.

Różnie dawali się nam we znaki. Gdy do pracy szło dwóch, trzech, to jeszcze co nieco zjedli, lecz gdy dwunastu — trzynastu, powracali głodni. Jeden Niemczur przyniósł nam całą torbę skórek od chleba. Kopnąłem ją na kilka metrów. Zameldował przełożonemu, ale ten tylko przyszedł, sprawdził wykonaną przez nas robotę i powiedział: „Die Soldaten im Kuchen". Najedliśmy się wtedy do syta. Nie każdy miał taki gest.

Podczas prac przeładunkowych na kolei postanowiłem wespół z kolegami uciec. Chyłkiem, chyłkiem wpadliśmy do sąsiedniego pociągu, stamtąd do następnego, i tak wydostaliśmy się. Ale powrót do domu był utrudniony. Wykorzystywaliśmy noce i polne ścieżki.

Spotykaliśmy się i z życzliwością, i z niechęcią Polaków. Warszawiacy wycyganili od nas koce. Jedna kobieta, narażając życie, przenocowała nas w swoim mieszkaniu, zaś w sklepie w Ostrowi usłyszeliśmy: „Przepierdoliliśta całą Polskę, to towar mam tylko dla Niemców".

Pomimo ciężkiej sytuacji i niepewności jutra rodzice powitali mnie jak triumfatora. Spośród rówieśników ja wróciłem najpóźniej. Matka domyślała się już najgorszego, ale ojciec — jak zwykle — zachował optymizm.

Co wywalczyłem? Do czego doszedłem? Przemierzyłem tysiące kilometrów. Przeżyłem setki tragicznych sytuacji. Nauczyłem się doceniać każdy kawałek chleba. Poznałem jego wartość, smak. Inaczej patrzę na ludzi. Rozumiem ich. Są mi bliżsi. Gdy nikt do mnie nie zajdzie przez dzień-dwa, tęsknię do nich.

Kiedyś byłem strasznym urwisem i nie bardzo liczyłem się z innymi. W szkole Leonowi innej oceny nie postawili ze sprawowania, jak tylko trzy. Raz mi nawet chcieli sąd koleżeński wymierzyć. Ale gdy wyszedł nauczyciel z klasy, zaraz rozpędziłem sędziów i powywracałem ławki. Ojciec za łobuzerstwo skórę złoił mi nie raz.

Teraz wydaje mi się, że rozumiem każdego człowieka, ale coraz mniej ludzi — zwłaszcza odpowiedzialnych za moje życie — może zrozumieć mnie. Robudowałem się na ziemi teścia. Wierzyłem mu na słowo. Po pewnym czasie całą gospodarkę zapisał synowi bratowej. Włóczenie się po sądach pochłonęło mi kilka lat. Wygrałem proces, lecz żona straciła zdrowie. Musi co miesiąc jeździć do szpitala, a ja wtedy siedzę w domu jak kołek. Dobrze, że mam garstkę przyjaciół. Czasami wdepną, pogadają, poczęstują papierosem.

Pisałem do premiera Jaroszewicza prośbę o przydzielenie mi samochodu. Odpowiedział odmownie. Zdziwiłem się, bo razem walczyliśmy o Studzianki, o Warszawę. Był starszy stopniem. Na Saskiej Kępie kula przeszyła mi stawy nóg. Trafiłem do szpitala, a on poszedł dalej. W roku 1974 dostałem Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i rentę inwalidzką w wysokości 3500 złotych. Teraz przesiedlają mnie do bloku. Domek mój oszacowali na 200 tysięcy złotych, choć prywatnie dawali mi 600 tysięcy. Nie stać mnie na to, by szukać sprawiedliwości. Brakuje sił i dawnej wiary w zwycięstwo.

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

owoce złotej jabłoni

Dookoła pola i pola, wspinające się na pagórki i zapadające w dolinach. Ileż razy przemierzałem tę drogę, ocienioną parasolami drzew, otoczoną morzem falujących łanów, pomiędzy trawiastymi dywanami rowów, w powrotach do dni mojego dzieciństwa.

Tamtego parnego dnia w domu powitała mnie matka — powściągliwie serdeczna, dobrotliwie uśmiechnięta — kardynalnym pytaniem. — Podgrzać ci zupy?

Roześmiałem się.

— No to przebieraj się! — przerwała moje rozbawienie, nieco zmieszana.

W chwilę później jadłem tłustą zacierkę, a ona plecami, jakby chciała roztoczyć nade mną opiekuńcze skrzydła; ale mogło to również oznaczać postawę niecierpliwego oczekiwania.

— Dobrze, że przyjechałeś — mówiła, a ja, z gębą pełną klusek, głową jej przytakiwałem. — Ojciec się gdzieś powlókł, bo zawsze kumpli znajdzie taki, a Kasia, jak to dziecko, lata po wiosce do wieczora i nawet na południowy posiłek trudno ją znaleźć, choć i tak jest chuda jak szczapa. Babcia już w polu. No, zbierajmy się, samo się nie zrobi.

Na pole szliśmy w milczeniu. Dopiero w pobliżu celu matka powiedziała ni stąd, ni zowąd: — Pamiętaj, ucz się, synu, żebyś skończył szkołę i był kimś. Jak będziesz chciał, wrócisz, a nie, to w mieście do pracy pójdziesz, ale bez nauki ani rusz.

— Tak, mamo — odpowiedziałem i spojrzałem na nią. Mimo zaledwie 36 lat miała włosy przyprószone siwizną, twarz ogorzałą i pociętą zmarszczkami. Ale w ruchach widać było młody wiek i spory jeszcze zapas energii. Na jak długo?

Na polu przeżegnała się, westchnęła: „Boże, dopomóż" — i ruszyła do przerywania buraków. To ciężka praca. Kiedy jest sucho, wymaga używania gracki; w wilgotny czas człowiek wytapla się w błocie, a wyrwane chwasty szybko przyjmują się w bruzdach.

Błyskawicznie ze swymi rządkami zostałem w tyle, choć przecież nie byłem żółtodziobem. Mama parła przed siebie jak maszyna, wykonując energiczne, trochę nerwowe, ruchy. Kiedy próbowałem ją dogonić, dystansowała mnie jeszcze skuteczniej. „Mam gorsze rządki" — pomyślałem sobie na pociechę któryś raz z kolei. Gdy ona kończyła — miałem przed sobą jeszcze kilkadziesiąt kroków.

Drobny, a potem coraz gęstszy deszcz zmusił nas do nałożenia skafandrów, ale nie zejścia z pola. Ostry wiatr smagał nasze twarze. Deszcz wkrótce ustał, choć już i nasza praca dobiegała końca. Wyprostowałem się. Ostry ból w krzyżu zmusił mnie do bezruchu przez dłuższą chwilę. Spojrzałem na matkę, która nadal trwała w pochyleniu, a potem na 70-letnią babkę, masującą swoje członki, i pomyślałem, ileż to razy jej ból jest większy od mojego. „Co jest takiego w tych ludziach, że przetrzymują każdą udrękę? Gdzie się tego nauczyli? Bo przecież nie w szkole."

Słońce już zbliżało się do kresu swojej drogi, gdy dowlekliśmy się do domu. Czekał nas jeszcze obrządek. Podścieliłem krowom. Matka krzątała się po podwórzu sama jak kołek, wreszcie — powłócząc nogami — poszła doić. Babka, sapiąc ciężko, trzymała się za serce. Kasia oglądała jakiś film, a ojciec rozwalił się na ławie. W jego brzuchu fermentował alkohol i bulgotał: „Boże, poratuj cierpiącego".

Położyłem się. Brakło mi woli do zmobilizowania sił, choć wiedziałem, że matka została na placu sama, bez pomocy, a nawet bez życzliwego ucha, które nadstawiłoby się na jej żale; bez czułego lekarza, który opatrzyłby jej zdeformowane, popękane i nabrzmiałe ręce. Może piakała w niemocy na grzbiecie krowy... Moje synowskie serce zabiło mocniej i być może wyrwałoby mnie spod ciepłej pierzyny, ale skrzypnęły drzwi i weszła ona — Boryna w spódnicy. Przyrządziła sobie gorącą wodę z cukrem, bo lekarz powiedział, że pomaga na nadciśnienie. Pijąc ją, rozejrzała się niespokojnie po izbie.

— Rano wysprzątałam przecież, a tu znowu taki brud. Co to ma znaczyć? — Kierowała na nas po kolei oczy. Zamknąłem powieki. Babka, Kasia i ojciec snu nie musieli udawać. Więc matka zamilkła i wzięła się do sprzątania. Dochodziła północ. Matka szorowała sadze z baniaków, myła gary i miski po zupie, wśród nich także i moją. Walczyła z sennością. Jeszcze pozostał jej posiłek i brud na własnym ciele. Kolację odłożyła do rana. Wlała do miski trochę wody i — już z zamkniętymi oczami — umyła się nad nią, ledwo utrzymując równowagę. Zegar ogłosił północ.

Zostało jej pięć godzin snu. Jak co dzień, od lat. Nogi i krzyż z pewnością doskwierały, bo jakżeby inaczej? Musiały boleć. Dobrze że Bóg utrzymywał ją w zdrowiu, bo ileż to byłoby zamieszania w domu, gdyby ona zległa? Kto by o piątej wysłał mleko do mleczarni, czyli przypilnował, aby te kilkaset złotych nie przepadło? Kto ugotowałby zupę i ustrzegł Kasię od choroby głodowej?

Brzęk baniek wyrwał mnie ze snu. Ale też sprośna piosenka mamy, która niczym nie kojarzyła się z modlitwą do słońca. Już ogień buzował w kominie, już pyrczała w garnku zupa, a w drugim — kawał mięsa. Patrząc na nią myślałem, że kręci się tak po kuchni od początku świata, od zawsze, i nie przestanie nigdy. Przedtem miała postać swojej matki, babki i prababki; w przyszłości zastąpią ją córka i wnuczka. Były i będą tak samo ofiarne i zapamiętałe w robocie. A może nie. Bo oto budzona do śniadania Kasia zezłościła się na matkę, że szarpie ją tak nachalnie, zaprasza do miski jak prostaczka bez ogłady. Wszyscy, oprócz babci, myślą, że są mądrzejsi od matki, bo do szkół chodzą i do harówki nie dali się zagonić. Swoim zwierzęcym wysiłkiem wciąż daje nam przekonanie o niespożytej wytrzymałości. Nie zastanawiamy się, skąd ona płynie. Z tej miski zupy i kęsa chleba? A może z miłości do córek i synów? Jej praca nobilituje nas i to wystarcza. Ona jest sumienna i szlachetna, więc my nie możemy być inni. Złota jabłoń nie rodzi robaczywych jabłek.

Wstałem. Zjadłem swoją porcję zupy i znów w trójkę ruszyliśmy w tę samą, buraczaną, drogę. Szło mi lepiej, więc wsparła mnie ochota na pogawędkę. Babcia była tak skupiona nad plewieniem, jakby nic innego poza burakami na świecie nie istniało.

— Babciu, niewiele wiem o tobie — zagadnąłem.

Spojrzała na mnie i zaszlochała. Pospiesznie wytarła łzy i wyjaśniła: — Co tu gadać. A bo kto zrozumie?

Ale widocznie czekała na taką chwilę, na wyzwolenie gorzkiego potoku słów. Aby nadążyć za opowieścią, opuszczałem kawałki nie oplewionych buraków.

— Widzisz, chłopcze, teraz ludzie żyją jak wilki. Nikt nikogo nie potrzebuje; co złapie, to zje, nie patrząc na innych. Kiedyś była bieda, ale nikogo nie zabiła, bo ludzie pomagali sobie wzajemnie. U nas nie było najgorzej, ale sołtysowa miała dziesięcioro dzieci! Jak raz nagotowała ziemniaków, to najstarszy chwycił garnek i uciekł z nim w pole, a reszta goniła go wrzeszcząc wniebogłosy i wołając o pomstę do nieba. A te ziemniaki były okraszone tylko rozgotowanym siemieniem. Ludzie trzymali się razem, bo znikąd pomocy nie mogli się spodziewać. Każdy chłopa oszukiwał, i pan, i Żyd. Jeden mało płacił za robotę, drugi za zboże. A po rynku chodziły pańcie z łyżeczkami do śmietany. Napróbowała się taka dosyć, zanim wstawiła służącej do koszyczka, a płaciła tyle, ile chciała, czyli „co łaska". Za Hitlera było jeszcze gorzej, bo kontyngenty kazał oddawać, a jak się nie schowało, to wszystko zabrali. W 1945 zmarł twój dziadek, a mnie zostało 20 morgów do uprawy. Więc wzięłam samogonu, machorki i słoniny, pojechałam na zachód, sprzedałam to, a kupiłam zboża i łubinu. Tak popychałam biedę do przodu. Innego życia nie rozumiałam, bo człowiek jest niewolnikiem ziemi.

— Kiedy patrzę na ciebie, babciu, i twoje zapamiętanie w robocie, które ci często każe o posiłkach zapominać, to myślę, że mało znajdujesz radości w tym niewolnictwie i chcesz je przeciąć umierając na polu. Po prostu: wyzywasz śmierć.

— Umrzeć na ziemi-rodzicielce nie jest gorzej niż we własnym łóżku. Pięknie i mniej straszno.

Pożałowałem wszystkich tych chwil, w których chciało mi się śmiać z jej niewiedzy. Jakież mogły mieć znaczenie nazwy miast i rzek przy jej mądrości życiowej? Ale czemu nie przekazała jej swojemu synowi, a mojemu ojcu?

— Twój ojciec był dobrym chłopcem, ale wychowałam go sama. Może za mało od niego wymagałam, może zbyt często zastępowałam czy wyręczałam go w robocie, bo mówiłam: „Poleż, synku, jeszcze się w życiu natyrasz". Nauczył się niewiele, nawet siać nie umiał. Kupił sobie motocykl i latał nim po wsiach. Kiedy się ożenił, żona miała do mnie pretensje o jego nieróbstwo ja broniłam się, a on się rozpił. Nie układało nam się dobrze. Wszyscy chcieli mówić i rządzić, nikt nie chciał słuchać. Teraz twoja matka sama ciągnie wszystko; dla dzieci

I jak może być spokój we wsi — babka wzięła głębszy oddech — skoro w rodzinach go nie ma. Spokoju nie ma, zgody nie ma, to i pomocy wzajemnej brak. Jeden nie ma czasu dla drugiego, a każdy nerwowy. Nie ma świętych słów matki ani ojca. Łańcuch dobroci i poświęcenia został przerwany, i to nie tylko z winy młodych czy czasu, w którym żyją. Może stare rady i słowa się wytarły? Młodzi rzucili się do szkół i bardziej im wierzą niż starym, spracowanym rodzicom. Zrobiło im się ciasno w wiejskich izbach, duszno od parujących kartofli. Ale to im się nie opłaci, ucieczka się zemści. Po prawdzie już się zemściła, bo kolejki po chleb nawet urosły. To czyste przekleństwo Boga, że syn chłopa z dziada pradziada woli kupować niż siać i zbierać, spacerować niż kosić. A my tu zostaliśmy jak stare drzewa w lesie: przesadzić ich nie można.

Znów zaczął padać deszcz. Babka nasunęła chustkę na czoło i zakończyła: — Ech, co tu gadać. Wszystko na próżno. A tyś na ile przyjechał?

Ojciec na podwórzu grzebał pod traktorem. Kasia jeździła na rowerze. Mama nakarmiła świnie i zaczęła nam zapełniać miski. Babka z łóżka poprosiła: — Kasiu, daj mi chleba z mlekiem. — Ta, nie odkładając łyżki, spytała: — A sama wziąć nie możesz?

Wyciągnąłem w jej stronę rękę, ale sprytnie się uchyliła i wybiegła na dwór, po drodze wywaliwszy język w moją stronę. Spełniłem prośbę staruszki. Zły byłem na siostrę, ale przecież sam sobie nie wydawałem się lepszy. Kiedy skończę szkołę i osiądę w mieście, także raz w roku będę pokazywał rodzicom język, bo jak inaczej nazwać takie okazjonalne odwiedziny u ciężko pracujących ludzi, którym przecież zawdzięczam start życiowy?

Znowu zapomniałem umyć miskę. Matka nalała do niej zupy, wzięła skrawek chleba i jadła z łokciami opartymi o stół, aby wkładać w tę czynność jak najmniej wysiłku. Patrzyłem na jej chropowate ręce i bardzo chciałem coś powiedzieć lecz nie wiedziałem — co. Matka zdawała się w pełni zaabsorbowana posiłkiem i odniosłem wrażenie, że najmniej spodziewa się po mnie słów. Nie odważyłem się zagadać do niej tak, jak na polu do babki: — Mamo, niewiele o tobie wiem...

DAROSŁAW SPYŁA
Fot. GABOR LÖRINCZY

Jest to tekst nadesłany na nasz konkurs „Boryna 81" (trwa on do 15 października). Zamieszczamy go na długo przed ogłoszeniem werdyktu jury, które nastąpi w listopadzie br. Autor pracy, jako jeden z niewielu, nie posłużył się godłem, co umożliwiło wcześniejszą publikację jego reportażu

ość w gardle

nie dajmy się biedzie

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

le to w Łomżyńskiem wielkich problemów z wodą nie ma, bo jej niewiele. Strasznie ta pani musiała się wtedy czuć nieszczęśliwa, że wszystko w tej sprawie decyduje się poza jej, a tym samym Urzędu Wojewódzkiego, kompetencjami. Ale nad jednym jej stwierdzeniem można byłoby się podpisać: jak dotąd — hodowcy ryb zawsze byli bezpańscy i jeśli mieli ochotę coś robić, to wyłącznie na własną rękę. Jeżeli dostawali cokolwiek, pasze czy narybek, to na samym końcu, za gospodarstwami państwowymi. W listopadzie zawiązało się wprawdzie Zrzeszenie Producentów Ryb, które zapewnić ma chętnym wszystko to, czego nie może załatwić naczelnik gminy. Wydział Rolnictwa czy nawet sam wojewoda, ale Zrzeszenie jest młode, a problemy stare jak świat. Może za jakiś czas... W tej chwili ci, którzy chcą wyhodować sobie rybkę, muszą i tak w większości przypadków wydeptać dawne, sprawdzone ścieżki.

Zrobiło się późno. Ryby skończyły podwieczorek, Ewa dawno odstawiła z blachy ugotowany obiad. Po szóstej zajeżdża wreszcie wyczekiwany „Żuk". Andrzej jakby wyczuł sprawę: przywiózł kilka butelek piwa.

Ewa mówi niewiele. Coś skomentuje, uzupełni w dwóch słowach. Gdy mowa o rybach, trudno Andrzejowi przerwać. Tej niecodziennej pasji poświęcił kilka lat życia, wszystkie pieniądze i trzy lata potyczek z biurokracją.

— Największym szczęściem jest chyba to, że poznałem pieczarkarza z Siedleckigo. Facet przeszedł już wszystkie historie związane z prowadzeniem inwestycji, więc, jak nikt, mógł mi poradzić, z której strony się do tego wziąć. Gdyby nie on, nigdy nie załatwiłbym płytek betonowych. Cóż z tego nawet, że dotarłbym do samego dyrektora Gajca, skoro on powiedziałby mi na pewno, tak jak i innym: osobom prywatnym nie wykonujemy. Tymczasem pieczarkarz podpowiedział, żeby zwrócić się do GS-u, który zrobi odpowiednie zamówienie, a dyrektor Gajca po prostu je zatwierdzi i płytki będą za tydzień. Były. Ta sprawa utwierdziła mnie ostatecznie w przekonaniu, że u nas załatwić można wszystko, i to nawet zgodnie z przepisami, trzeba tylko wiedzieć, jak się do tego zabrać. W ogóle cała ta inwestycja jest dla mnie niezłą szkołą życia, uczącą spraw znacznie trudniejszych do opanowania niż wiedza o rybach.

Ryby. To była zawsze moja pasja. Może dlatego wyuczyłem się na ichtiologa. Zaraz po studiach przez pięć lat pracowałem w Instytucie Rybactwa Śródlądowego w Żabieńcu. Zostałem nawet starszym asystentem i, można powiedzieć, otwierała się przede mną droga naukowa. Uznałem jednak, że potrzebna mi jest do tego jeszcze większa praktyka i poznanie doświadczeń amerykańskich. Zdecydowałem się więc na skorzystanie z pośrednictwa organizacji ukrywającej się pod dość zabawną nazwą 4H (heart, head, hand i jeszcze coś równie dobrego). Znalazłem się w pierwszej, stuosobowej grupie, wysłanej na mocy porozumienia między naszym Ministerstwem Rolnictwa a, osławionym już, koncernem Messey Fergusson, no i 4H Fondation. Na miejscu okazało się, że mam się udać do niejakiego pana Damonda Szymańskiego w stanie Wisconsion. Niewiele już mówił po polsku, ale zrozumiałem, że powinienem harować na jego ogromnej farmie. Po czterech miesiącach miałem tego powyżej uszu. Dałem więc ogłoszenie do gazety i w ten sposób trafiłem do farmy rybackiej w stanie Mississippi, gdzie dostawałem w kość przez następne dziewięć miesięcy, tym razem jednak z własnej i nieprzymuszonej woli. Przez cały czas, dla świętego spokoju, płaciłem haracz na rzecz 4H Foreign Fondation. Do kupy wyszło tego koło dwóch tysięcy ośmiuset dolarów. (Umożliwiają one pewnie bezpłatne wyjazdy dygnitarzom z Ministerstwa Rolnictwa). W sumie i tak mi się opłaciło. Zdobyłem wiedzę oraz kontakty z hodowcami i ludźmi z branży rybackiej, przywiozłem kilkanaście kilogramów lektury fachowej. Mimochodem nauczyłem się też języka.

Wywiozłem z tej wyprawy jeszcze jedną korzyść: po powrocie do kraju zacząłem krytyczniej patrzeć na te nasze kochane instytuty naukowe. Nie chcę nic złego mówić o pracownikach, bo — jak na polskie warunki — i tak robią, a przynajmniej starają się robić, bardzo dużo. Denerwuje mnie jednak idiotyczna struktura instytutu, gdzie na pięciu pracowników naukowych przypada tylko jeden laborant, który najczęściej i tak ma to wszystko gdzieś. Wybitni specjaliści rozpraszają się w działalności przygotowawczej lub ubocznej, latają z młotkiem, klepią gwoździe itp. W Stanach jeden naukowiec pracuje na Nobla, towarzyszy mu kilku pomniejszych oraz tłum takich, którzy mają łby do tego, żeby coś zmajstrować, usprawnić i przygotować doświadczenia. Mój krytyczny stosunek nie zmienił faktu, że do badań potrzebnych w mojej pracy doktorskiej wziąć się musiałem w takich warunkach, jakie mi oferowano. Trzeba przyznać, że nie było to takie bezproduktywne. Jako pierwszy w Polsce zrobiłem sztuczne tarło suma w stawach Ośrodka Hodowli Ryb w Gosławicach koło Konina. Przy okazji poznałem drugiego pasjonata, pana Gliszczyńskiego ze Słupska, z którym wspólnie opracowaliśmy „Polfamix", specjalną, witamizowaną odżywkę dla sumów, oraz granulat.

Nadal się dokształcałem. Tym razem przez trzy tygodnie na Węgrzech. W programie miałem m.in. zwiedzanie wspaniałego nowoczesnego ośrodka, wybudowanego z funduszy FAO. Najpierw proponowano go Polsce, ale nasze ważne głowy doszły do wniosku, że nie jest on nam potrzebny, bo sami potrafimy lepiej. Myślałem: zobaczę coś, czegoś się nauczę, ale węgierskie Ministerstwo Rolnictwa było zdania, że nie leży w ich interesie moje podglądanie tajemnic tarła. Znacznie sympatyczniej było w drugim ośrodku, w Sarvász. Powiedziano mi: „Nie martw się, tam jest kupa zarozumiałych idiotów. Jak posiedzisz u nas, zdążymy ci wszystko dokładnie powiedzieć, bo dobrze znamy tamten ośrodek". No i powiedzieli.

Z moją pracą w Polsce nie było jednak cudownie. Zmarł nieodżałowany Gliszczyński. Zacząłem się kręcić wokół mającego powstać ośrodka w Ostrołęce. Były wspaniałe plany, ale zabrakło funduszy, więc sprawa dostała w łeb. Ostatecznie zatrudniłem się jako starszy specjalista, a praktycznie — kierownik, w gospodarstwie stawowym SGGW Łąki Jaktorowskie, 44 kilometry od Warszawy. Najpierw kilkanaście minut tramwajem na stację, potem pociągiem elektrycznym za Grodzisk do Jaktorowa i trzy kilometry piechotą do miejsca pracy. Tam czekało na mnie 85 hektarów stawów. Byłło gdzie pochodzić i przy okazji popilnować trzech facetów, żeby odsiedzieli swoje. Ponadto miałem do dyspozycji jeden połamany wóz, dwudziestoletnią, zdychającą kobyłę, kilka sieci i... wspaniałe perspektywy. Wylęgarnia była taka, jak u mnie teraz. Myślałem: przez pół roku zrobię nowe tarło, sprowadzę pstrąga. Roznosiła mnie inicjatywa, zapał. Problem tylko w tym, że nie było pieniędzy. Nie brakowało natomiast nigdy rozmaitych ważnych docentów z SGGW oraz dyrektorów z kombinatu w Brwinowie. Razu pewnego zjechali się niemal wszyscy, aby dociekać, dlaczego naczelnik gminy w Jaktorowie podał zakład na kolegium. Mówię: „Dlatego, że kąkole i inne chwasty w naszej grobli rozsiewają się na całą okolicę". „Trzeba to ściąć" — oni na to. „Kim, czym? — pytam — Mam jedną ręczną kosę na 85 hektarów". „Damy ciągnik". „Dajcie". Kiedy wypisywałem się z tej roboty, ciągnika jeszcze nie było

Musiałem odejść, bo nie znoszę takiej beznadziei. Postanowiłem odtąd całą energię wyładowywać dla siebie i własny rachunek. Znalazłem wspólnika, przeczytaliśmy ciekawą ofertę w ogłoszeniach. Miejsce okazało się idealne. Stara śluza, spiętrzenie. Przy hodowli pstrągów musi być co najmniej dwumetrowa różnica poziomów. Woda w Pukawce świetna. Nie ma tu żadnych zakładów przemysłowych, żadnej zlewni mleka, tylko łąki, pola i laski. Wprawdzie wszyscy straszą nawozami sztucznymi, spływającymi z deszczami z pól, ale wyliczyłem, że aby wytruć moje pstrągi, trzeba byłoby

w przeciągu piętnastu minut wrzucić do Pukawki 60 ton nawozów azotowych. Tak więc wypadało tylko kupować. Gorzej, że kupić trzeba było całość — dziesięć hektarów za pół miliona. Ale przecież nasze państwo daje kredyty. Wziąłem więc 450 tysięcy pożyczki z banku. Spłaty rozłożono bardzo korzystnie, na 30 lat. Przykrą niespodziankę, o której głośno się nie mówi, były horrendalnie wysokie opłaty notarialne, w moim wypadku tylko 50 tysięcy. Nie miałem jednak czasu na rozważania. Zostałem rolnikiem, była wiosna, należało zabrać się do roboty rozłożono bardzo korzystnie, na niaki. Z wiedzy szkolnej zostało niewiele, ale rolnicy dokształcali mnie na bieżąco. No i od razu też zaczęliśmy załatwiać papiery. Najpierw informacyjnie zadzwoniłem do Biura Gospodarki Wodnej przy Urzędzie Wojewódzkim w Łomży. Bardzo miły pan, wyraźnie ucieszony, wykrzyknął: „Ależ oczywiście, gospodarstwo rybackie, to fantastyczne! Działajcie, panowie! Zacząć trzeba od operatu wodno-prawnego". Pojechaliśmy więc do Urzędu załatwiać pozwolenie na szczególne korzystanie z wody. Ten sam urzędnik wyjaśnił: „Panowie, musicie mieć najpierw tzw. wysokościówkę, czyli pomiary geodezyjne. To dopiero będzie podstawą do przeprowadzenia rozprawy wodno-prawnej". Skorzystałem z rady, rozpocząłem poszukiwania odpowiedniego specjalisty. Kolędowałem po różnych biurach geodezyjnych, WZIR-ach; wszędzie odprawiano mnie z powodu braku czasu. Poratował mnie znowu ten sam miły urzędnik. Okazało się, że miał takich specjalistów za ścianą. Przyjechali natychmiast. Nabuzowani. Mieli z sobą jakieś narzędzia, coś tam przez dwie godziny mierzyli, wreszcie otworzyli cennik: Zapłaciłem. Przez trzy miesiące ich ścigaliśmy. Byli dokładnie nieuchwytni. W końcu powiedzieliśmy temu, który nam ich naraił, że jeżeli w ciągu dwóch dni nie otrzymamy wymaganej dokumentacji, wystąpimy przeciw Urzędowi. Panowie ci musieli bowiem nie tylko pomierzyć i dane zapisać sobie w notesie, ale zrobić jeszcze specjalny wyciąg i nanieść na mapę w odpowiedniej skali. Nasza groźba poskutkowała. Na przyspieszenie terminu rozprawy to jednak nie wpłynęło. Dwa miesiące i ciągle nic. Wobec tych wszystkich utrudnień wycofał się z interesu mój wspólnik. Przepisałem więc gospodarstwo na siebie i zacząłem ubiegać się o nowe kredyty, tym razem na inwestycję. Znowu zjechali specjaliści. Czterech ich było. Mówię im: „Mierzcie, panowie, co chcecie — a mieli ustalić parametry gospodarstwa — ja mogę nawet narzędziami służyć". A oni na to, że posiadają, i wyciągają... miarkę dwumetrową. Proponowałem im taśmę mierniczą, niwelator, ale nie chcieli. Widać jednak byli dobrzy, bo pożyczkę dostałem. Oczywiście, nie bez przeszkód. Żeby dostać te półtora miliona, trzeba było najpierw wykazać się trzydziestoprocentowym wkładem. Ponieważ cały kosztorys opiewał na dwa miliony trzysta tysięcy złotych, owe trzydzieści procent równało się około 800 tysiącom. Miałem tylko 600. Coś mnie jednak natchnęło i powiedziałem, że mam jeszcze dolary na koncie. Oni na to, że na koncie ich nie interesuje, trzeba pokazać. Pożyczyłem więc od znajomego tysiąc dolarów i pokazałem. „No, tak, tak. Niech pan już schowa, bo jeszcze panu ukradną". Ale był to zaledwie wstęp. W następnej kolejności zażyczono sobie od nas potwierdzenia zameldowania, a od Ewy — pisemnego oświadczenia, że będzie mi pomagała w budowie. Mogę ją teraz szantażować, że podam do sądu, jak nie będzie grzecznie pracować...

Kiedy wystąpiłem o kredyt inwestycyjny, chcieli się upewnić, czy podołam trudom hodowli ryb. Idea słuszna, bo nie można wyrzucać pieniędzy w błoto, ale czy rzeczywiście nie wystarczy mój dyplom ichtiologa lub świadectwo pracy z Instytutu Rybactwa Śródlądowego? Na to nawet nie chcieli spojrzeć. Musiał być świstek ze Zrzeszenia Producentów Ryb. A tam niby na podstawie czego mogli mi zaufać? Tu kredyt, tam pożyczka, i stałem się prawie multimilionerem, chociaż — obiektywnie rzecz biorąc — groszem nie śmierdzę. Zamiast biletami Banku Narodowego obracam fakturami, a z prawie każdą są jakieś przeboje. Ostatnio np. przywiozłem żwir. Z Kółka z Nurze wziąłem trzy ciągniki i kopaczkę. Na fakturze wypisali i transport, i kopaczkę, tak wydawało się mnie, w biurze natomiast zapytano: „Co pan woził?" — „Żwir". „A tu nie jest napisane". „To niech pan wpisze na podstawie mojego oświadczenia". „Ja panu nie wierzę". „Przecież to z moich kredytów. Nikt mi tych pieniędzy za darmo nie dał. Muszę je spłacić, i to z procentem. Nie można mi wierzyć na słowo, że woziłem żwir?" „Nie, ja nawet sobie nie wierzę". Przekonywania nic nie dały. Musiałem jechać, żeby wypisali ten żwir, podpisali się. I tak w banku nie byli jeszcze za bardzo zadowoleni: „Szkoda, że nie ma pieczątki".

Rozprawy ciągle nie było. Projektant zdążył zrobić operat, ja dogadałem się z RPM-em w Wyszkowie, że jeszcze tej jesieni (1979 r.) zacznę kopanie stawów. Zimą mają łuki produkcyjne, więc mogliby szybko ukończyć. Niby wszystko grało, ale i tak zaczęli dopiero w kwietniu 1980 roku. W czerwcu stawy były gotowe. Wtedy urodził się nasz syn. Jednocześnie dorobiliśmy się stawów i potomka, wyzbywszy się przy tym zabytkowej szabli i złotego zegarka.

Można by powiedzieć, że zakończył się okres najtrudniejszy. Można by tak powiedzieć, gdyby nie fakt, że wszystkie stare problemy pozostały, a na dodatek — przybyło nowych. Do najstarszych należą na pewno moje kontakty z instytucjami. No, nie wiem, co bym zrobił, gdyby nie zrozumienie u dyrektora Centrali Rybnej w Białymstoku i pomoc naczelnika, bo instytucje... dobrze, jeżeli nie zaszkodzą. Chociaż skłamałbym, gdybym powiedział, że dyrektor i naczelnik są w stanie zawsze mi skutecznie pomóc. Dla przykładu: potrzebowałem cementu na mnichy. Dyrektor Centrali dał pismo do WZIR-u i powiedział: „Tam jest pula wojewody. Jedyna inwestycja rybacka na tym terenie musi otrzymać. Czterdzieści ton panu starczy?" Pojechałem do Zambrowa. Dyrektor WZIR-u ds. budownictwa indywidualnego też był podobnego zdania. Dał pieczątkę, podpisał. Bez problemu. Dopiero w zambrowskim GS-ie... „Nic pan nie dostanie". „Jak to? A pula wojewody?" „Proszę pana, to bardzo dobrze, że WZIR ma pulę, ale my w tej chwili jesteśmy o 1800 ton do tyłu. Gdyby pan bardzo chciał dostać ten cement, to musiałby pan siedzieć na stołeczku przed kasą, a połowę swej osoby umieścić na bocznicy kolejowj. Gdy przychodzi wahadło z cementem, jedna połowa natychmiast opłaca towar w kasie, a druga ładuje go na ciągnik. Inaczej nie ma pan szans nawet na kilogram". I rzeczywiście: mam ten papierek na czterdzieści ton do dzisiaj. Dobrze, że naczelnik coś tam cykał pomalutku, to pięć, to dziesięć; uzbierało się chyba ze dwadzieścia ton. Z biedą starczy na bieżące prace.

Okazało się również, że rozliczenie budowy także nie może się obyć bez naczelnika. Powinien on wystawić zaświadczenie, ile wynosi dniówka na jego terenie, żeby na tej podstawie inspektor nadzoru mógł zatwierdzić rachunki. Zastanawiałem się, dlaczego inspektor nie może mi uwierzyć, natomiast naczelnik musi. Kiedy zapytałem o to, usłyszałem: „Niech się pan nie dziwi, my musimy być w tych sprawach bardzo ostrożni". Zaufanie do naczelnika ma jednak, jak się wkrótce przekonałem, ograniczony zasięg terytorialny. Ponieważ ciągle zdarzają się wyłączenia światła, a w ubiegłym roku straciłem nawet przez nie wszystkie sumy, postanowiłem uniezależnić się od kaprysów państwowego zasilania. Pojawiła się możliwość załatwienia agregatu prądotwórczego. Musiałem tylko napisać podanie, że jestem rolnikiem, hoduję ryby i ten agregat jest mi niezbędny. Naczelnik potwierdził pieczątką, a w Warszawie usłyszałem: „Co? Naczelnik? Musi województwo podpisać". Pojechałem od razu do Łomży. Dobrze mi już znana pani Kulesza z UW wysłuchała mnie uprzejmie i stwierdziła, że to nie mieści się w jej kompetencjach, lecz dyrektora Jamiołkowskiego. A ten się zdziwił: „Ja mam panu tak po prostu podpisać? A gdzie karta gospodarstwa specjalistycznego, umowy kontraktacyjne?" Powołałem magister Kuleszową na świadka, że ja tu przez siedem miesięcy po operat i różne sprawy... Dyrektor w końcu podjął decyzję: „Zadzwonimy do Nura i zapytamy naczelnika, czy można panu podpisać". Przez trzy godziny czekałem z pismem naczelnika w ręku, aż on sam ustnie potwierdzi wiarygodność mojej osoby. A przecież w Wydziale Rolnictwa Urzędu Wojewódzkiego mają mnie w wykazie hodowców ryb!

Nie po raz pierwszy klątem na tę Łomżę. Żeby ta Zuzela w Białostockiem była albo w Siedleckiem... Bo weźmy chociażby paszę. Pojechałem do rzeźni w Wysokiem Mazowieckiem, powiedzieli, że absolutnie nie, bo u nich wszystko odbierają futerkarze. (Podobno im to jeszcze Cyrankiewicz załatwił. Chodzą nawet legendy, że jakieś lisy tu ma czy norki). A w Białymstoku już co innego: „Futerkarze, nie futerkarze, pan ma priorytet, pan jest głównym i jedynym odbiorcą". Pojechałem więc do Brańska, załatwiłem z kierownikiem i lekarzem weterynarii. Postawiłem w kącie 350-litrową zamrażarkę i dostaję wszystko to, co lekarz odrzuci, a dla ryb się nadaje. Przerabiam we własnej wytwórni granulatu. Postawiłem ją nawet nie dlatego, że brakuje pasz, lecz aby nie zginąć w gęstwie paragrafów i przepisów. Przywieźli niedawno do Nura otręby pszenne, potrzebowałem pięciu ton. Dostałem dwie. Kierowniczka służby rolnej powiedziała mi: „Ja wiem, że pan tego sam nie zje, ale musi pan pojechać do Białegostoku i tam dobić, żebym miała podkładkę, bo inaczej wezmą mnie na dywanik i przepytają z przepisów". Kiedy wróciłem z Białegostoku, okazało się, że zmieniły się ceny i rolnicy błyskawicznie wykupili otręby.

Ludziom, którzy chcieliby startować zupełnie od zera, radzę założyć raczej dyskotekę lub wziąć w ajencję slipera. Może nie jest to nikomu tak bardzo potrzebne, jak ryby, ale inwestycja pewniejsza, łatwiejsza i — co najważniejsze — zyskowna.

Energia, upór i pomysłowość Andrzeja Sosińskiego wzbudzają podziw. Znajomi powtarzają: takiego nie zniszczy żadna administracja. Nie ma jednak nic pewnego, a historia hodowli ryb w Polsce Ludowej ciągle zapisuje nowe, zaskakujące rozdziały. Dnia 1 września Centrala Rybna w Białymstoku (podobnie jak inne) oświadczyła, że nie będzie skupywać ryb słodkowodnych od Państwowych Gospodarstw Rybackich, bo taki handel wcale jej się nie opłaca. Od 1 lipca, gdy wszystkie gospodarstwa znowu przeszły na samofinansowanie, koszty produkcji ryb okazały się dużo wyższe niż ceny detaliczne. Ani Centrala Rybna, ani bank, nie mają zamiaru dopłacać do tego interesu. W takim układzie Andrzej stanie się jedynym producentem ryb słodkowodnych w makroregionie i może wreszcie wyjdzie na swoje. Jemu na pewno opłaci się sprzedać ryby nawet po starych cenach. Może się jednak okazać, że w dobie narastającego absurdu Centrala Rybna nie zechce już sobie zawracać głowami żadnymi rybami.

DANUTA i ALEKSANDER WRONISZEWSCY
Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Nasze liczne interwencje w obu cytowanych wyżej instytucjach w celu przyspieszenia wysyłki potrzebnych dokumentów cenowych nie przynosiły pożądanych rezultatów. Ponieważ ten problem jest problemem ogólnopolskim, został przez WPHW poruszony na naradzie w Centrali Państwowego Handlu Wewnętrznego w Warszawie (w dniu 19 sierpnia br.), w której uczestniczyli przedstawiciele „Pagedu". W rezultacie uzyskaliśmy zapewnienie, że obecnie będziemy otrzymywali decyzje cenowe do wszystkich kontraktów zagranicznych, co umożliwi nam wprowadzanie mebli do sprzedaży bezpośrednio po dostawie, bez konieczności wyczekiwania na fakturę.

Mgr ŁUCJA KAROLCZUK
I zastępca dyrektora

★

W „Kontaktach" z 23 sierpnia w artykule „Zatarg w Łomży" znalazł się następujący fragment: „(....) o problemie dowiedziałem się od prezydenta Newelskiego 23 lipca". Nie polega on na prawdzie. Powiedziałem mianowicie, że o problemie dowiedziałem się ja, a tym samym i Urząd Miejski, od przewodniczącego Zarządu „Solidarność" — ob. Chojnowskiego — dnia 23 lipca.

Mgr JAN KAROL CYCHOL
Wiceprezydent Łomży

★

Wojewódzki Związek Spółdzielni Mleczarskich w Łomży w nawiązaniu do zamieszczonej w rubryce „Spięcia" („Kontakty" nr 32) notatki dotyczącej utrudnień w przyjmowaniu mleka w punkcie skupu w Kossakach Nadbielnych informuje, że dokonano sprawdzenia przedstawionych faktów i stwierdzono, iż w dniu 30 maja br. podczas kontroli służb OSB z Zambrowa w punkcie skupu zdyskwalifikowano mleko dostarczone przez jednego z rolników jako niezgodne z polską normą. W mleku stwierdzono wytopiony tłuszcz, pływający na powierzchni mleka, grudki tłuszczu oraz warstwę tłuszczu pokrywającą od wewnątrz konew. Mleko uznano za celowe zafałszowane i nie przyjęto od dostawcy. Na tę okoliczność sporządzono notatkę służbową. Dostawca nie zgadzając się z oceną udał się do oddziału produkcyjnego w Mężeninie z reklamacją. W międzyczasie dokonał mycia konwi i cedzenia mleka, ponieważ służby laboratoryjne nie stwierdziły już poprzednio występujących nieprawidłowości, po przebadaniu uznano je za prawidłowe i przyjęto w tym zakładzie.

Jak widać wydłużanie drogi dostawcy do punktu skupu nie ma miejsca w rzeczywistości. Podane w „Spięciach" uogólnienie sugeruje, że taka jest organizacja skupu mleka. Jest to absolutnie nieprawdziwe i przeczące zdrowemu rozsądkowi oraz gospodarności. A przecież redakcja wie, że kłopoty z obsługą dostawców z Kossaków Nadbielnych wynikają z waśni wioskowych. Wasz redaktor uczestniczył w zebraniu w tej wsi. Włożyliśmy bardzo dużo wysiłku, żeby zażegnać nieporozumienia, złośliwości i zacietrzewienie tamtejszych dostawców. Nieopatrzne „dolewanie oliwy do gasnącego ognia" jest chyba nikomu niepotrzebne.

Mgr inż. ZDZISŁAW TRUSZKOWSKI
Prezes Zarządu

„Kontaktów" — klub dyskusyjny „Kontaktów" — klub dyskusyjny „Starciaga"

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

trudności odchodzenia są miarą wyobcowania władzy ze społeczeństwa. Okres spędzony w elicie powoduje, że jednostka zmienia swoją mentalność, wyrabia sobie inny system wartości, inaczej ustawia swój stosunek do ludzi. Następuje jak gdyby utrata języka ze swoim środowiskiem Odejście ma jednocześnie w sobie wiele cech deklasacji. Pozostaje się bowiem nie tylko zdegradowanym materialnie, ale następuje jednoznaczna zmiana przynależności społecznej. Z pojęciem „deklasacji" wiąże się ponadto ściśle element kompromitacji. Kompromitacji najczęściej osobistej. Oto ktoś wykazał się rażącą nieudolnością, nie sprawdził się, okazał się słaby. Jednocześnie ci wszyscy, którzy w roku 1956, 1970 czy 1980 nie byli bezpośrednio odpowiedzialni za to, co się działo, okazali się skompromitowanymi samym faktem uczestnictwa we władzy. Fakt ten nie był zresztą również bez znaczenia w sytuacjach, zdawałoby się, moralnie czystych, a więc przy odejściach z powodu różnicy poglądów. Pozostający bowiem zawsze starają się w takich momentach skompromitować tego, który ma odmienne zdanie. W drastycznych przypadkach zaczynał funkcjonować dość skuteczny zarzut —schemat: godzenie w pryncypia ustrojowe, w naród, w państwo, gdy trzeba było — we wspólnotę. Bywały wówczas procesy, zapadały wyroki śmierci. Dlaczego tak się działo? Chyba także dlatego, iż w naszym systemie elita polityczna zawsze jest tożsama z elitą sprawującą rządy. Wypadnięcie z niej — wobec braku ośrodka alternatywnego choćby w jej wewnętrznych ramach — musi się zawsze kończyć jeżeli już nie zejściem fizycznym, to przynajmniej śmiercią polityczną.

WŁODZIMIERZ PAWLUCZUK: — Max Weber rozróżnia trzy typy władzy ze względu na źródła: władzę tradycyjną, charyzmatyczną i legalną. Przywołuję tę tezę po to, by spojrzeć na sprawę bardziej kontekstowo, historycznie. Trzymając się powyższego podziału, możemy powiedzieć, iż władza w Polsce jest władzą legalną, przy czym legalizm ten ma, a właściwie miał — charakter dość specyficzny. Nie był on mianowicie formalno-prawny, lecz treściowy. Legitymacją powstającej w 1944 roku władzy było bowiem to, że tworzyła ona pewien proces historyczny, zgodnie z prawami rozwoju i interesem narodu. Interes ten dość jasno można było skonkretyzować: wprowadzenie sprawiedliwości społecznej, możliwość osiągnięcia dobrobytu narodowego, podniesienie prestiżu państwa — a więc uzyskanie tego, czego władza legalna formalnie, burżuazyjna, nie zapewniała. W dzisiejszej sytuacji legalizm treściowy w dużym stopniu uległ załamaniu. Powstaje więc pytanie: jaka jest wobec tego istota obecnej władzy, czyj reprezentuje interes? Jaka jest relacja socjologiczna, psychologiczna, prawna, między interesem klasy robotniczej, a interesem władzy oficjalnie w jej imieniu sprawowanej?

JACEK TARKOWSKI: — Obawiam się, że stoimy wobec niebezpieczeństwa, iż ten niezwykle ważny problem zaczniemy oglądać w kategoriach psychologicznych: jak czują się ci, którzy odejść muszą, dlaczego tak kurczowo trzymali się stołków itd. Czy to jest najistotniejsze? Myślę, że na początku warto byłoby przyjrzeć się raczej samej dotychczasowej strukturze władzy. Co wówczas daje się postrzec niemal od razu? To mianowicie, że jednym z jej niedomogów był zawsze problem sukcesji. Gdy bowiem przestudiujemy wszystkie oficjalne dokumenty, od Konstytucji poczynając, stwierdzimy, iż nie jesteśmy w stanie jasno sprecyzować choćby tego tylko, jak powinna wyglądać zmiana na stanowisku I sekretarza KC. Proszę przy tym zwrócić uwagę, że z tego właśnie powodu zarówno u nas, jak i w krajach sąsiednich, wykształciły się właściwie dwa podstawowe sposoby odejścia: albo w sytuacji kompromitacji i kryzysu, albo zejścia śmiertelnego, czyli zawsze dramatycznie. Oczywiście, wskazać tu można również czynniki psychologiczne, niejako uniwersalne — władza ma swój słodki smak, niewielu z chęcią z niej rezygnuje itp. — ale bardziej godne uwagi są, moim zdaniem, uwarunkowania systemowe. A nie rozwiązany problem sukcesji to tylko jedna z pochodnych centralizacji naszego systemu. Jednocześnie zasada na dyscypliny, podporządkowania, posłuszeństwa, doprowadzała zawsze do tego, iż nikt ze struktury jakiejkolwiek władzy w tym kraju nie był do ruszenia. Łańcuszkowym skutkiem takiego stanu rzeczy było pojawienie się feudalnych stosunków między rządzącym a rządzonym, z tytulaturą i dworskim obrządkiem; krytyczne spojrzenie stało się albo niemożliwe, albo nie do pomyślenia. Doskonałym przykładem jest tu książka Mieczysława F. Rakowskiego, napisana podobno na przełomie 1978/79, dowodząca — z jednej strony — że w partii istniała myśl krytyczna, z drugiej — iż autor, jako dobry, lojalny członek partii, nie ośmielił się jej we właściwym czasie upowszechniać. Można zapytać: jakaż to lojalność? Chcę jednak zwrócić uwagę na rzecz inną i zapytać: dlaczego? Dlatego, że w feudalnym układzie nie można było spojrzeć na premiera, sekretarza KC, ministra, dyrektora, jak na człowieka, działacza politycznego, bez łączenia tego z „pleno titulo". Zjawisko to, zaczynające się na szczytach, spływało na naczelnika gminy, kierownika tartaku, prezesa spółdzielni w małym miasteczku. Dochodził do tego inny jeszcze, nie mniej ważny, element — łączenia funkcji. Kierownik tartaku w małym miasteczku musiał być automatycznie członkiem egzekutywy, przewodniczącym jednego i drugiego towarzystwa oraz zasiadać w prezydium FJN. Nie był to już więc kierownik Kowalski; była to cała instytucja, a próba ruszenia kierownika wywoływała natychmiastową reakcję elity na nią się składającej. Ruszenie jednego członka było przecież groźbą dla całości. Nietykalna, otoczona nimbem autorytetu i blaskiem mocy, władza została niejako uświęcona. By coś zmienić, musimy ją więc „odczarować". Można zacząć to robić od likwidacji tytulatury. Forma „towarzysz" była w XIX wieku synonimem „brata", miała ustawiać ludzi na jednym poziomie; równać ich z sobą. Obecnie jest już swoim zaprzeczeniem, gdyż przez skojarzenia z władzą — stała się na zewnątrz czynnikiem wartościującym. Musi się rozstrzygnąć problem sukcesji i rotacji.

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI: — Według podręcznikowej definicji — polityka to sztuka zdobywania i utrzymywania władzy. Zdobywania i utrzymania — w jaki sposób? Społeczny. Przez kogo? Przez jednostkę albo przez grupę społeczną. Możemy więc mówić o niej zarówno w kontekście grupy najmniejszej — rodziny — jak i grupy dużej: klasy, narodu. Ustalenie tego, kto sprawuje zwierzchność w grupie społecznej, jest możliwe niezależnie od wielkości tej grupy, bo walka o władzę toczy się wszędzie. Ba, w rodzinie nie jest to tylko osobnicza walka o dominację męża nad żoną lub odwrotnie — nad teściową (lub odwrotnie), ale nawet nad udomowionym psem, który bardzo wcześnie ustala sobie, kto jest dla niego rzeczywistym przywódcą stada.

Gdy spojrzymy jednak na kwestię zdobywania władzy przez grupę społeczną, wówczas musimy jeszcze sformułować pytanie: w jakim celu? Czy jej zdobycie satysfakcjonujące jest samo w sobie, czy też jest to środek do celu innego, na przykład — ekonomicznego? Nie jest to pytanie błahe Niedawno recenzowałem dla „Iskier" rękopis pamiętnika Dawida Sierakowiaka, który zapisał egzystencjalną i społeczną sytuację mieszkańców łódzkiego getta. Ten kilkunastoletni chłopiec odtworzył swoiste laboratorium społeczne. Oto spędzeni do getta Żydzi, z chwilą zamknięcia ich na izolowanej przestrzeni, zostali zrównani w swej społecznej kondycji, wtrąceni w ekonomiczną równość, w sytuację nieobywateli, w przedmiotowość prawną. Ale Niemcom potrzebna była ich praca produkcyjna. I oto nastąpiło ponowne uwarstwienie więzionej społeczności: ci Żydzi, którzy posiedli możliwość rządzenia producentami — lepiej jedli, ubierali się, żyli; zaczęli gromadzić dobra na „lepsze czasy". Posiadanie władzy stało się źródłem posiadania dóbr. Wkrótce też pojawiły się tam standardowe atrybuty władzy: portrety przywódców getta, Chaima Rumkowskiego, w szkołach i urzędach; lokalne pieniądze z jego podobizną. Autor pamiętnika, oczytany w podstawowej literaturze marksistowskiej, zanotował taką swą myśl: żydowska władza getta łódzkiego ukonstytuowała się w klasie wyzyskiwaczy. Pisze o tej „klasie" z nienawiścią właśnie — klasową. Bo był tam głodzonym proletariuszem. I nie jest ważne, czy rozpoznanie to jest teoretycznie poprawne. Ważne jest, że zostało ono wyprowadzone z jego doli społecznej, tedy mogło być odczuciem również innych, na tę dolę skazanych. I ważne jest, że rozpoznanie to zostało pomyślane, bo — jak w tezach „Fizyków" napisał Duerenmatt — to, co pomyślane, jest do pomyślenia. Konkretnie: do pomyślenia jest, że władza nad dużą grupą społeczną może stać się zaczynem klasy, która tę grupę eksploatuje ekonomicznie. Jeśli nie w rzeczywistości, to w odczuciu społecznym...

Z tego, co powiedziano, wynika, że odejście od władzy jest u nas zejściem z porządku świata społecznego lub zejściem ze świata w ogóle. Dziwne. Przecież żyjemy w obrębie kultury, która pewne mechanizmy funkcjonowania władzy wypracowała już dawno. Kiedy w roku 1945 rozpoczęła się konferencja w Poczdamie, z szefem ówczesnej Wspólnoty Brytyjskiej nieodłącznie pojawiał się łysawy pan, który nazywał się Clement Attlee, szef labourzystowskiej opozycji, autor książki „Will and the Way to Socialism". Po co tam był? Winston Churchill, przewidując, iż może przegrać w zbliżających się wyborach — co też się stało — zabierał z sobą ewentualnego następcę, aby obserwował rokowania. Mógł je kontynuować, jeśli brytyjski elektorat obdarzyłby go pozycją leadera państwa. My, niestety, nie potrafimy jeszcze takiej sytuacji — rezygnacji z osobniczych interesów na rzecz wynikających stąd szans ogólnych — zaakceptować. Obserwuje się to zwłaszcza teraz, wobec perspektywy reformy gospodarczej: czy każdy ze starej grupy menadżerskiej nadaje się do sprawowania swej funkcji w nowych, odmiennych warunkach? Czy potrafi odejść spokojnie i godnie? Gdyby tak było, nie mówilibyśmy o miesiącach posierpniowych; „najdłuższy strajk okupacyjny", jakim jest „strajk" administracji, która nie chce wyjść zza swych biurek...

Mówiąc o polityce, nie możemy również zapomnieć, iż jest to także sztuka realizacji możliwości, które dane są podmiotowi funkcjonującemu w tej sferze. Zdaję sobie sprawę, że paść tu może zastrzeżenie: człowiek zachowuje się przecież tak, by zmanipulować drugiego człowieka do zachowań, których ten nie podjąłby, gdyby nie został zmanipulowany. Wszyscy jesteśmy więc narażeni na manipulację polityczną, a piękne kobiety są w dodatku narażone na manipulację erotyczną; protestują tylko wówczas, gdy nie zostaną przez nas pokonane, lub gdy przekracza ona kulturowy standard, pomyślany dla takich sytuacji. Ale może być również taka sytuacja — na nią chcę zwrócić uwagę — w której pewne mechanizmy, będące naszym wspólnym wytworem, determinują nasze zachowania. Wobec pewnych sytuacji zachowujemy się więc nie tak, jak dyktuje nam to rozum. Niewykluczone zatem, że do niektórych społecznych zachowań, zwłaszcza ostatnich — strajkowych, kontestacyjnych — wmanipulowani zostaliśmy przez sam rozwój sytuacji. Nazbyt zaufaliśmy formule: „sytuacja ma rację". Realizacja „możliwości" nie zawsze zgodna jest z naszym „ja" rozumowym. Brniemy w głupstwo.

LECH KOZIOŁ: — Zgadzam się z poglądem, że trudności z wymianą władzy pochodzącej z tzw. nomenklatury, wynikać mogą z poczucia zagrożenia tych, którzy zaangażowali się w postawienie tego akurat człowieka na to właśnie stanowisko. Jednocześnie jednak obok braku w naszym kraju wspomnianych zasad sukcesji, nie istnieje prawny rozdział kompetencji między władzą państwową a rzeczywistą, partyjną. Czy to ważne? Oczywiście, gdyż w ten sposób nie istnieje jasny, wyraźny rozdział odpowiedzialności. Druga sprawa, która nie została jeszcze poruszona, to kryteria doboru do władz. Skupiając się tylko na partii choćby na szczeblu naszego miasta, trudno twierdzić, iż ludzie pełniący w niej jakiekolwiek funkcje wyróżnili się wcześniej czymś szczególnym w swoim życiu zawodowym. Dobór polegał dotąd raczej na selekcji negatywnej: do ekip chętnie dokoptywano ludzi bez własnego zdania, a więc nie stanowiących wprawdzie dla „panujących" konkurencyjnego zagrożenia, ale przez to nijakich i nieprzydatnych. Odejście dla takiego człowieka zawsze będzie dramatem: był nikim, a odsunięty — byłby znowu nikim. Czy będzie się on więc chciał rozstać ze stanowiskiem, które z nicości go wyciągnęło? Proszę zauważyć, że ludzie mający rzeczywistą pozycję zawodową raczej niechętnie uczestniczyli dotąd w wyścigu po stołki. Zatem jednym z podstawowych warunków bezkonfliktowego, normalnego odejścia jest wybór autentycznie wyróżniających się w środowisku ludzi. Tylko tacy bez żalu wrócą na swe uprzednie, i tak eksponowane, miejsca.

HENRYK GAŁA: — Przyznam, że to, co przed chwilą usłyszałem, jest dla mnie przynajmniej bulwersujące. Odpowiem więc od razu przykładem. Komentarz, myślę, będzie zbyteczny. Dowódcą włoskich partyzantów był człowiek o niebywałej odwadze, znakomity organizator i taktyk. Kiedy skończyła się wojna, proponowano mu różne prominentne zajęcia. Próbował je nawet podejmować. Rychło okazało się jednak, iż się po prostu do nich nie nadaje. Był z zawodu księgowym i umarł jako... emerytowany główny księgowy. Powiem też od razu, że osobiście nie wierzę w precyzję najdoskonalszych mechanizmów społecznych. Człowieka bardzo często stwarzają nie mechanizmy, lecz sytuacje. Jest natomiast, moim zdaniem, wielki problem posiadania zawodu, i największy błąd w polityce kadrowej tkwi w tym, że już od przedszkola wychowujemy niektórych tylko na działaczy.

HENRYK CHOJNOWSKI: — Nad całą dotychczasową rozmową zbyt ciążą ostatnie kryzysowe miesiące, a szczególnie niechlubne odejście garnituru Gierka z nim samym. O ile bowiem stwierdzenie, że odejście od władzy w naszej rzeczywistości odbywało się zawsze w sytuacjach konfliktowych i kompromitacji władzy, jest ścisłe i adekwatne, o tyle odnosi się ono jedynie do najwyższego szczebla. Niżej natomiast trafiała się od czasu do czasu i kontrola, i zdarzały się odejścia znacznie wcześniejsze. Padło tu również pytanie: dlaczego władza izolowała się od społeczeństwa i następowało jej „oderwanie się od mas". Przyczyna jest bardzo prosta: skoro uzależniony byłem nie od wyborców, lecz od tych, którzy mnie ustawili, czyniłem wszystko, by przypodobać się nie kierowanemu przeze mnie zespołowi, lecz tym dzięki którym mogę kierować.

JANUSZ TARKOWSKI: — Odnoszę wrażenie, że przeceniamy rolę posiadania pierwotnego względem polityki zawodu. Owszem, istnieje taki problem, ale jedynie na szczeblach

najwyższych. Stanie on wkrótce także przed „Solidarnością", w której zdecydowana większość przywódców szczebla regionalnego i centralnego to robotnicy. Czy Wałęsie łatwo byłoby teraz wrócić na etat elektryka, choć jest dobrym fachowcem i ma dobry zawód? Sądzę, że naiwnością jest już samo stawianie takiego pytania. I nie ma się, w tym konkretnym przypadku, czemu dziwić. Trudno przecież oczekiwać, by człowiek, którego wizytę wiele głów państwowych poczytywałoby sobie za zaszczyt, z radością wracał do dokręcania kontaktów.

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI: — Krążymy ciągle wokół problemu odchodzenia od władzy, a przecież wiąże się z nim równie sprawa powrotu do niej. I sprawa odejścia — z osobistego wyboru. I jeszcze jedna sprawa — nie odchodzenia, chociaż intelektualne i moralne koszty sprawowania władzy są zbyt duże. Ja mam takie hobby: integralność biografii. Interesują mnie ci nasi politycy, którzy — jak Władysław Gomułka w 1948 roku, jak Tadeusz Grabski w 1978, jak Stefan Olszowski u progu lat siedemdziesiątych i u ich schyłku, jak Kociołek ostatnio — nie kryli swego „zdania odrębnego". Nie interesują mnie ludzie, którzy lepią się do każdej władzy, nawet jeśli jest to władza zbiorowości, która utraciła instynkt samozachowawczy lub kieruje się — pozwólcie na ten neologizm — irracją. Nie możemy serio rozmawiać o kulturze odchodzenia, jeśli nie uwzględnimy czynnika a k s j o l o g i c z n e g o; jeśli nie ma perspektywy, że ten, kto reprezentuje niekoniunkturalne wartości i konieczne do tego faktu właściwości osobowościowe, może na nią powrócić. Rotacja — konieczna, bo gdyby ona była za Gomułki i Gierka, nie byłoby tego dramatu i wstydu — nie znaczy: „wsiąkania w polityczny niebyt". Nie znaczy — etymologicznie. Ale może dorobimy się sytuacji, gdy b y ł y leader stanie się szanowanym parlamentarzystą, albo — jak to powiedział przed rokiem Kazimierz Barcikowski w Szczecinie — starym człowiekiem, którego doświadczenie jest przydatne i ludzie chcą go słuchać?

JANUSZ TARKOWSKI: — Oczywiście. Musimy sobie jednocześnie uświadomić, że żaden skomplikowany, nowoczesny system nie może prawidłowo funkcjonować bez ekspertów od polityki, słowem: polityków zawodowych. Kierowanie kilkumilionowym — czy kilkudziesięciomilionowym państwem to nie zabawa. W Anglii istnieją „public-school", elitarne szkoły, kształcące przyszłych mężów stanu, przywódców, dyrektorów. Zawodowy polityk idąc po szczeblach władzy musi być stale poddawany sprawdzianom przydatności i — przejść dalej lub odpaść. Wcale nie widzę nic złego w tym, że polityk nigdy nie był murarzem, profesorem czy fryzjerem, pod warunkiem, że poddawany jest stałej i ostrej kontroli demokratycznej.

Dobrze, że niektórzy tak humanitarnie starają się podchodzić do kwestii odejść; mówią o dramacie itp. Wielu z odchodzących załamuje się, frustruje i nerwicuje, a nawet trafia do szpitali psychiatrycznych. W naszym systemie groźba takiego finału jest większa niż w systemach pluralistycznych. Tu albo się jest w układzie, albo się nie jest, i nie ma gdzie zboczyć. Trzeba jednak sobie zdawać sprawę, że ten, kto włazi w politykę musi mieć świadomość wchodzenia na teren grząski i niebezpieczny.

WINICJUSZ NAROJEK: — Nie tylko w tym zawodzie istnieje, związane z jego wykonaniem, ryzyko. Mówiąc zaś o tym, że u nas nie ma gdzie zboczyć, i s t n i e ć p o l i t y c z n i e poza układem (oczywiście, legalnie), warto dodać, dlaczego. Wynika to, jak sądzę, stąd, iż cechą główną naszego systemu jest jego bezalternatywność programowa.

WŁODZIMIERZ PAWLUCZUK: — Sądzę, że wszelkie rozważania o charakterze moralno-postulatywnym wobec władzy grożą abstrakcją, jeżeli nie będą umieszczone w pewnym kontekście. Wszystko bowiem co istnieje i działa, czyni to w określonej strukturze. A dzisiaj w Polsce w wielkim trudzie kształtuje się struktura społeczna, śmiem twierdzić: unikalna w skali świata. Dwa czynniki przede wszystkim decydują i będą u nas decydowały o systemie powoływania władzy, jej sprawowania i odchodzenia od niej. Pierwszy wynika z faktu, iż rzeczywiście ukształtował się u nas pluralizm polityczny, choć „Solidarność" wciąż deklaruje swoją apolityczność; drugim jest kwestia reformy gospodarczej. Pierwszy sprawił, że już teraz zarówno partia, jak i administracja, funkcjonują przecież inaczej; drugi zmodyfikuje system ekonomii, a co za tym idzie — zgodnie z myślą marksistowską, że władza ekonomiczna jest podstawą wszelkiej władzy — system sprawowania władzy w ogóle. Można tu rozpatrywać trzy jej piony: partia, administracja, gospodarka. To, jak zadziałał pluralizm na partię, już widzieliśmy. Zmiana relacji między administracją partyjną a organami przedstawicielskimi, demokratyzm wyborczy itd., nie zaistniały przecież dlatego, że raptem zostały poruszone sumienia towarzyszy partyjnych, którzy pewnego ranka obudzili się i postanowili zacząć wprowadzać leninowskie normy życia partyjnego, lecz dokonały się pod wpływem takiej, a nie innej, sytuacji społecznej. Nastąpiło też wyraźne przesunięcie akcentu autorytetu władzy, a mianowicie wzrost prestiżu władzy państwowej w stosunku do partyjnej. Tę ostatnią, jak słusznie zauważono, należy konstytucyjnie i formalno-prawnie jasno określić. Pierwszym pozytywnym, w moim mniemaniu, krokiem w tym kierunku było wprowadzenie do Konstytucji zapisu o jej kierowniczej roli.

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI: — Nieuchronnie więc pojawiła się kwestia: co zdarzyło się w partii przed i w okresie IX Zjazdu — w sensie składu ekipy kierowniczej? Najłatwiej byłoby przyjąć tezę, że w kampanii wyborców partyjnych zakwestionowany został partyjny aparat. Sformułował to Jerzy Urban w artykule komentującym Zjazd na łamach „Polityki". Nie sądzę jednak, by była to teza prawdziwa. Bo jeżeli tak — czy zostałby leaderem partii człowiek tak mocno z aparatem od lat związany, jak Stanisław Kania? Czy zostałby wybrany Kazimierz Barcikowski, który przeszedł z ruchu młodzieżowego do wydziału organizacyjnego partii, owej „matki aparatu". Podobnych przykładów znalazłoby się jeszcze kilka. Zatem nie w tym kierunku, jak sądzę, działały ołówki delegatów. A wcześniej — nie z tych motywów skreślano na konferencjach wojewódzkich. Moim zdaniem, ołówkami delegatów zakwestionowane zostało Centrum. Centrum jako ośrodek dyspozycyjny władzy. Do tej pory sądziliśmy, że znajduje się ono w stolicy państwa. Rok temu nastąpiło jednak przesunięcie go na Wybrzeże; w pewnym momencie takie uzurpacje zaczęły się pojawiać w Krakowie, a wcześniej — w obrębie aglomeracji śląskiej. Wybory w partii były manifestacją buntu prowincji. Odruch był tu taki: nie zgadzamy się na niekontrolowane rządzenie krajem przez Warszawę, ale nie wyrażamy też zgody na to, by ośrodek dyspozycji politycznej przesunął się do jednego z tych punktów polskiej geografii, które zgłosiły do tego najwyraźniejsze pretensje. Jednocześnie w trakcie kampanii pojawiło się zjawisko wybierania „swoich ludzi". Kryterium „swojego człowieka" jest tu proste: trzeba się „u nas" urodzić albo przynajmniej wychować. Bunt przeciwko „przywożonym w teczce", skądinąd uzasadniony, wcale nie jest taki oczywisty, jeśli chodzi o skutki. Przyjęcie bowiem kryterium „swojego człowieka" powoduje blokadę krążenia wartości w kraju. Mogą istnieć tego rodzaju kryteria, które nie dorobiły się nie tylko działaczy kultury, twórców, menadżerów, ale również zawodowych polityków. Jeśli tego rodzaju blokada miałaby funkcjonować przez kolejne lata, da się przewidzieć następujące jej konsekwencje: niechęć do obcych, zamknięcie się w ojczyźnie „parafialnej", uczynienie z kraju luźnej federacji różnych „swojskości". Ale istnieje też ogromna szansa tej kampanii: zablokowanie dziejącej się od roku 1948 centralizacji i koncentracji twórców kultury i polityków w Warszawie oraz stworzenie — wreszcie! — policentryzmu kulturowego i cywilizacyjnego. Być może to, co się stało w lipcu tego roku, jest szansą autentycznej dekoncentracji mózgów.

MAREK ANDRYCHOWSKI: — Chciałbym, wobec zaledwie sygnalizacji problemu, dodać jeszcze własną opinię na temat alienacji władzy. Jej źródeł bowiem szukać trzeba nie tyle w minionych miesiącach, co dość już odległych latach. Postawię więc pytanie: skąd wzięła się w Polsce „treściowo legalna" władza w roku 1944? Układ w Jałcie wyraźnie określił strefy wpływów zasiadających tam stron, jak również to, że będziemy w strefie wpływów Związku Radzieckiego. Z tego faktu wyniknęła rzecz dość znacząca: władza przeniesiona do nas ze wschodu była nam obca zarówno ideologicznie, kulturowo, jak i światopoglądowo; światopoglądowo, gdyż naród Polski w większości posiadał światopogląd chrześcijańsko-katolicki, zaś władza przychodząca — materialistyczny; ideologicznie, gdyż władza ta zlikwidowała socjalistów, a wąska grupa PPR-owców nie miała większego odniesienia ani przed wojną, ani po niej. Niosła ona jednocześnie dość popularną ideologię awansu społecznego, i choć ona do pewnego momentu się sprawdzała, to jednak w latach siedemdziesiątych zaczęła się stopniowo wyczerpywać. Fikcją jest też teza, którą tutaj zgłoszono, iż stanęliśmy w obliczu autentycznego pluralizmu politycznego. „Solidarność" zachowuje się jako partia polityczna jedynie w obliczu konfrontacji, natomiast w momencie egzekwowania ustaleń posługuje się nie politycznymi, lecz związkowymi metodami. Nie wydaje mi się też, by „Solidarność", przy tak dużym rozwichrzeniu światopoglądowym i ideowym, potrafiła znaleźć wspólny mianownik ideologiczny; by znaleźli go np. Gwiazda z Wałęsą. Jest teraz w Polsce problem KPN-u. Coś trzeba z nim wreszcie zrobić. Pozamykanie takich lub innych działaczy niczego bowiem nie rozwiązuje.

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI: — Obawiam się, że czas, w którym żyjemy, najrozumniejszy nie jest! Bo mówiąc o pluralizmie, trzeba jednak trochę wiedzieć o istocie rewolucji. A mówić to w Łomży — trzeba pamiętać o łomżyńskiej KPP i chłopskiej radykalnej, antyklerykalnej lewicy! Tu jest historyczne zakotwiczenie tej władzy, która — prawda! — wspomożona została u schyłku wojny przez klasowego sojusznika polskich komunistów.

Pozwólcie państwo, że wygłoszę tu informację — spokojnie, bez modnej dziś histerii — w imię tej szczerości, o którą apelowałem na początku, i tego porządku myślowego, jaki jest nam dziś konieczny: polscy komuniści tej krwawo zdobytej władzy nie oddadzą nikomu. Ani w imię pluralizmu, ani nawet w imię Boże.

Fot. GABOR LÖRINCZY

spięcia

Precz ze schematami! Dosyć powielania! — zbuntował się Zakład Usługowy 081-4 WPHW w Łomży i zaczął wypisywać dla jednostek uspołecznionych rachunek i gwarancję napraw sprzętu na jednym blankiecie bez kopii. Efekt — piorunujący. Przy powtórnych naprawach zakład nie wie, jakie części sprzętu wymieniał, klient musi więc wycofać zaksięgowane rachunki-gwarancje z macierzystego zakładu (nieraz spoza Łomży). A wystarczyłoby założyć zwyczajną książkę napraw. Ale jak się rzekło, powielanie szkodzi postępowi.

☆

Dlaczego usunięto bruk na ulicy Kapucyńskiej w Łomży, zamieniając ją na nieutwardzoną drogę. Czyżby „kocie łby" przeszkadzały twardogłowym?

☆

Szoku doznali w Szumowie społeczni kontrolerzy sklepów, znajdując w monopolowym 120 butelek ukrytej wódki. Wódka była zwykła, zdarzenie — nie, bowiem społecznicy przed akcją zwalniają się z pracy u sekretarek, te kablują w teren o nalocie i na czas kontroli trefne znika spod lady. A powiada się, że masowe środki przekazu nie mają społecznego zaufania.

☆

Doskonałe miejsce widokowe na łomżyńską dolinę Narwi przy ulicy Woziwodzkiej vis a vis budynku nr 10 od lat zalega w tzw. (delikatnie) surowcach wtórnych. Rozumiemy, że prezydent-łomżyniak czuje się najlepiej na własnych śmieciach, ale czy trzeba być aż tak dosłownym?

☆

Drzewa na trasie Łomża-Piątnica błagają o cięcia sanitarne. Drzewa umierają stojąc, personel Rejonu Dróg Publicznych w Łomży — siedząc. Na razie w biurze. Z bezczynności.

☆

Dyrektor PGR-u w Grabowie zbudował w ogrodach swej firmy ósmy cud świata. Jest to kominkopodobna budowla pod wiatą, kosztowała tylko milion złotych i, jak przystało na dzieło sztuki, niczemu nie służy. Zlokalizowana w pobliżu altany z lat dwudziestych tego wieku — jest genialnym dziełem estetycznej pomyłki. Chcąc oddać najpełniej ów zgrzyt estetyczny tym, co arcydzieła nie widzieli, grabowianie zgrzytają zębami.

☆

Złota myśl wykradziona z łomżyńskiego „Jubilera": „Zamknięty sklep o godz. 18.00" — otwiera wyobraźnię klienta, widzącego wewnątrz postronne osoby.

☆

„Ciechanowiec tylko dla niezależnych" — pod tym hasłem tamtejsza milicja ściga ludzi bez własnego zdania. Zaczęto od kierowniczki restauracji „Złoty Kłos" która — zgodnie z decyzją zarządu geesu — trzymała w magazynie sporo wódki, by przepisowo dawkować ją na dancingach. Popisowa akcja milicji uczyniła z niej w mieście niedoścignły wzór niezależności od niczego i nikogo.

☆

Dyrektor Wydziału Budżetowo-Gospodarczego UW w Łomży uprawnia wojewodów i swój personel do kupowania w bufecie trzech kilogramów słodyczy na osobę. Dla reszty pracowników UW są tylko suchary. Cóż, dolce vita dyktuje swe prawa, ale unikając sucharów też można połamać sobie zęby.

ZAPISANE W DRODZE

Świat wędrowcy

Polacy stali się narodem nomadów. Poszerza to horyzonty, wzbogacająca ich wiedzę o świecie i wiedzę świata o Polakach. Polacy uczą się języków obcych, a obcy nauczą się języka polskiego, zwłaszcza drobnego interesu, handlarze na uczęszczanych przez Polaków szlakach.

Mój przyjaciel Andrzej Łucyk z Białegostoku nie był nawet zdziwiony, gdy na bazarze w Istambule handlarz ciuchami powitał go entuzjastycznym zawołaniem: „Niech żyje »Solidarność!«" Na Mexico Plac w Wiedniu miłe panie zapraszają do sklepów piękną polszczyzną, a wytworni panowie w tych sklepach chętnie wchodzą w rzeczową konwersację w języku polskim o... wełnianych interesach. Nawet w Wenecji, gdy w jednym z ulicznych stoisk zapytałem, wskazując na spodnie ze sztruksu: „Quanto costa? — sprzedawca spojrzał na mnie, uśmiechnął się i odpowiedział życzliwie: „Dla Polaków za trzynaście tysięcy".

Różne są konsekwencje tego przejścia Polaków z trybu osiadłego na życie wędrowcze. Można je wyliczać w sposób usystematyzowany. Są więc pewnie jakieś tam skutki ekonomiczne (ja się na tym nie znam), polityczne, poszerzają się kontakty kulturowe w skali światowej itp. Ma to jednak jeszcze inne konsekwencje, bardzo głębokie, powiedziałbym — najgłębsze. Życie w drodze, czyli podróżowanie, kształtuje bowiem odmiennie niż życie osiadłe podstawowe parametry naszego bycia: czas, przestrzeń i system wartości.

Czas. W podróży czas płynie inaczej. Schulc mówił o bocznych odgałęzieniach czasu, składających się z momentów, które się nie zmieściły w głównym nurcie przemijania. Ten główny nurt — to codzienność, gdzie sens naszych działań określony jest przez cele tej codzienności. Zwyczajny czas naszej codzienności stanowi łańcuch zachodzących na siebie wzajemnie, sensownych działań. Wakacyjne wyprawy w siną dal przerywają ten łańcuch. Czas schodzi z głównego nurtu na boczny tor. Cele działań, z punktu widzenia naszej codzienności, są „fikcyjne": przepłynąć kajakiem jezioro, przejść szczyty górskie, przejechać atrakcyjną trasę, pobyć w Wenecji. Wszystko to nie mieści się w głównym nurcie naszego czasu, który filozof określa zatroskaniem o chleb codzienny. Czas wyprawy do pewnego stopnia jest więc sztuczny. Stanowi w naszym życiu swoistą skamielinę. Na wakacjach czas płynie szybko, nie ma go prawie. Z odległej perspektywy, po latach wielu, nabiera on niezmiernej wagi: czujemy, iż przeżyliśmy coś ważnego, że był to cenny czas cenniejszy, może i bardziej znaczący, niż całe lata zwyczajnej codzienności.

Z perspektywy tej sztucznej rzeczywistości, jaką jest czas wakacyjny, możemy jednak dokonać krytycznej oceny naszej codzienności, sporządzić swoisty rachunek sumienia, jakiego nie da się dokonać w tej codzienności. Oglądamy bowiem ową rzeczywistość niejako z zewnątrz, z pozycji świata fikcyjnego, jakim jest świat w drodze.

Odmienna też jest przestrzeń wędrowcy od przestrzeni codzienności osiadłej. Inaczej jest odczuwana i uświadomiona. Ludzie ze wsi noszą swą przestrzeń w sobie przez całe życie. Jest to przestrzeń ich wsi i ich zagrody. Ja, dla przykładu, obojętnie gdzie bym był — w Londynie, Wenecji czy Istambule, w wysokich górach, na morzu czy w zgiełku miasta — zawsze wiem, jak się to wszystko ma wobec mego domu w Rybołach i wobec rybołowskiej ulicy; wiem, czy okręt płynie równolegle do mego podwórka w Rybołach, czy skosem, albo jak się ma dom w Kopenhadze wobec mego domu w Rybołach, a okna w wielkim hotelu — wobec okna mego dzieciństwa. Te uwewnętrznione w dzieciństwie parametry przestrzenne są miarą mego świata. Odruchowo i bezwolnie stosują ją wszędzie, porządkując każdą przestrzeń — lesistą, skalistą, morską, wiejską, miejską — według relacji przestrzennych mojej wsi i mojej chaty. Oczywiście, poczucie to najczęściej wprowadza mnie w błąd — ale to odrębne zagadnienie.

Całkiem przypadkowo niedawno stwierdziłem, iż ludzie wychowani w mieście pozbawieni są tego imperatywu przestrzennego. Przestrzeń w mieście ma charakter bardziej abstrakcyjny, wymaga uwewnętrznienia, raczej planu miasta niż geograficznej przestrzeni poszczególnego domu czy ulicy. Plan ten umieszczony jest w przestrzeni abstrakcyjnej, a jego świadomość nie jest kojarzona — jak w przypadku mieszkańca wsi — ze wschodami i zachodami słońca czy ze skawerem południa.

Przestrzenią podróżnika jest abstrakcyjna mapa. W odróżnieniu od mieszkańca wsi, który wszelką przestrzeń odnosi do parametrów własnej zagrody — podróżny własną maleńką przestrzeń — namiot, samochód, pokój w hotelu — nanosi wciąż na wielką mapę świata.

Miarą wszelkiej przestrzeni dla mieszkańca wsi, miarą świata, jest jego prywatna przestrzeń — przestrzeń własnej zagrody. Miarą wszelkiej prywatnej przestrzeni dla podróżnika jest świat. Z różnych powodów kraj nasz stał się krajem wędrowców. Konsekwencje tego, jak rzekłem, są wielorakie. Z tego, co powiedziałem, sądzić należy, iż są one bardzo głębokie. Przestrzeń i czas są podstawowymi kategoriami porządkującymi życie ludzkie i ludzki świat. Przekształcenie tych kategorii musi prowadzić zatem do równie głębokich, co nieprzewidywalnych, zmian w obrazie świata i życia ludzkiego, do zmian zarówno w kulturze, jak i w świadomości ludzkiej.

WŁODZIMIERZ PAWLUCZUK

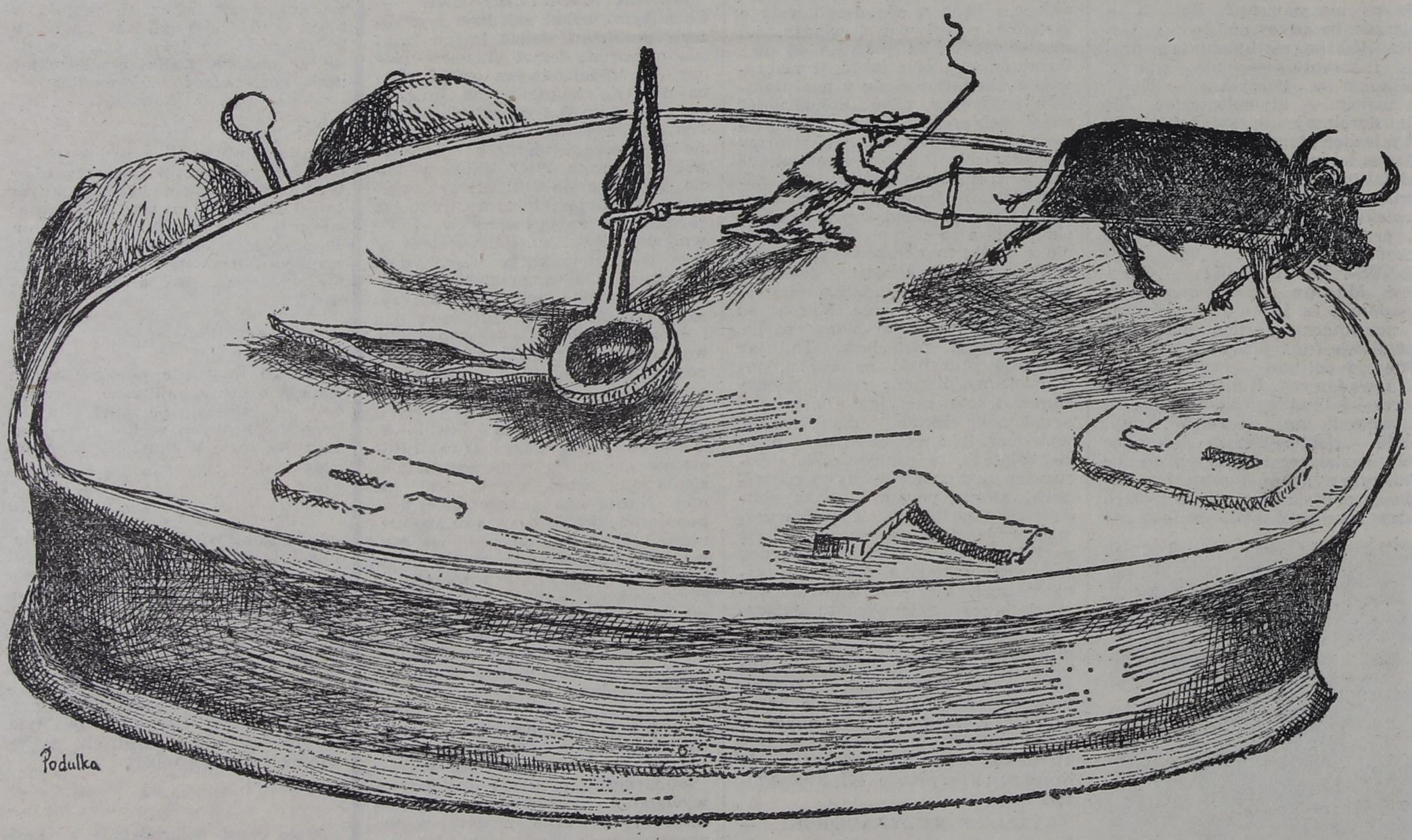

reflekSje

NA PIĘCIOLINII

rock i polityka

Rzecz zaczyna się od tego, że w Warszawie istnieje — dosyć już popularny w krajowych środkach przekazu — gitarowy zespół „Kryzys", złożony z dwudziestolatków naszpikowanych agrafkami i buńczuczną filozofią. Ta filozofia nie wynika z czegoś konkretnego, bo gdyby tak było, faktycznie wyglądałaby zupełnie inaczej. A najprawdopodobniej w ogóle by nie istniała, bo do filozofii trzeba albo dorosnąć, albo dojrzeć, co — wbrew pozorom — nie znaczy to samo. Otóż „Kryzys" szybko zakończyłby swój żywot zespołu rockowego, gdyby nie wydana we Francji długogrająca, epatująca okładką, na której socrealistyczny portret młodej murarki, uwiecznionej na tle rusztowań, opatrzony został podpisem: *„Solidarność z polskim rockiem"*, umieszczonym tuż pod nazwą zespołu. Co ma piernik do wiatrka? To — wyświechtane już nieco — powiedzenie odżywa na nowo (skoro mamy odnowę) i pasuje tu jak ulał. Cóż bowiem mamy na tej płycie? Koszmarną, schodzącą poniżej amatorszczyzny, muzykę, bełkotliwe teksty i fatalny poziom techniczny. W taki oto sposób polski rock w wykonaniu czterech amatorów ma świadczyć o jakiejś solidarności. O jakiej?

Kulisy sprawy są dla wtajemniczonych jasne, bo przecież chodzi tu o pieniądze, niekoniecznie wpływające do kasy zachodniego menedżera. A może przede wszystkim — nie. Jedynym wyjściem z „Kryzysu" byłoby wzięcie tych panów od interesu za dupę i posądzenie o jawne działanie na niekorzyść kraju. Wziąć ich powinien na równi rząd, jak i „Solidarność", bo to jest mieszanie brudnych interesów zakichanego big beatu do spraw naprawdę ważnych i dla narodu często tragicznych.

I oto niezwykle postępowy tygodnik „Razem", barwne i popularne czasopismo ZSMP, artykułem Dariusza Andrzejewskiego broni zaciekle „Kryzysu", chociaż w dziwnym dwugłosie atakuje go Elżbieta Żmuda. Włos jeży się na głowie każdego, kto — po pierwsze — słyszał „Kryzys", po drugie zaś — zna aferkę z wydaniem płyty, a czyta, co następuje: *„Jest to więc muzyka antykomercyjna, ekspresyjna, posługująca się najprostszymi środkami i prawdziwymi, osobstymi tekstami traktującymi o problemach zwykłych* (co to są problemy zwykłe!? — dop. J. J.), *muzyka, która stanowi alternatywę dla olbrzymich instrumentariów, symfonicznych i dyskotekowych struktur muzycznych i bezmyślnych tekstów. Na szczególne słowa uznania zasługuje Tomek Switalski, którego skoncentrowana, jazzowa, a raczej loftowa gra na saksofonie nadaje utworom niepowtarzalny kształt, w czym nieźle dopomaga mu Robert Brylewski na gitarze"*. Boże!

Różne bełkoty wypisują ludzie na temat muzyki, ale rzadko zdarza się w jednym akapicie tyle bezczelności i kpiny z Czytelnika: Symfoniczne i dyskotekowe struktury, loft w wykonaniu gorzej niż amatora, który wie, jak wydobyć z instrumentu dźwięk, pomoc gitarzysty o sztywnych palcach itd. Efekt tego jest taki, iż młody człowiek, chcąc się czegoś dowiedzieć o muzyce z tygodnika „Razem", dostaje pomieszania zmysłów i — dla oczyszczenia — włącza Bacha. Albo Niemena. O całej maskaradzie najlepiej świadczy prywatna wypowiedź „opiekuna" zespołu, który sam się zdziwił, że w ciągu dwóch tygodni od wręczenia chłopakom instrumentów zaczęli oni robić karierę. Nawet na Zachodzie.

Może ktoś mocno zainteresowany karierą „Kryzysu" zarzuci mi, iż chcę wrócić do Łukaszewiczowskiego modelu propagandy oraz cenzury i zamknąć wrota przed ambitnymi artystami — ponoć w imię godności narodowej Polaków. Odpowiadam z góry: w tym przypadku chcę!

JAN JANUSZEK

katastrofa wielkich jezior

część II

REPORTER: — Zbliża się czas zagłady Wielkich Jezior Mazurskich. Perła tych jezior, Giżycko, jest miastem chorym. Dosłownie i w przenośni. Mówi dyrektor Terenowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Giżycku.

WALENTYNA WASILEWSKA: — Teren Giżycka jest terenem endemicznym dla niektórych chorób przewodu pokarmowego; mam tu na myśli czerwonkę, salmonellozę. Mieliśmy kilka poważnych ognisk: w 1975 dosyć pokaźną epidemię czerwonki, 2533 przypadki zachorowań; w 1978 — nowe ognisko w Szkole Podstawowej nr 4, a w 1979 — zwyżkę zachorowań na salmonellozę w Giżycku i okolicach.

REPORTER: — Co to jest za choroba?

WALENTYNA WASILEWSKA: — Solmonelloza, choroba przewodu pokarmowego, jest zaliczana do grupy chorób odzwierzęcych.

REPORTER: — Czyli jest coś tutaj nie w porządku?

WALENTYNA WASILEWSKA: — Nieprawidłowe odprowadzanie ścieków. A duża ilość turystów, duży ruch ludności w okresie sezonu turystycznego, sprzyjają szerzeniu się chorób zakaźnych. Stale mamy choroby zakaźne na naszym terenie. Corocznie stwierdzamy wylewy ścieków do piwnic prywatnych, co również sprzyja powstawaniu i szerzeniu się chorób zakaźnych.

REPORTER: — Skąd się biorą ścieki w piwnicach?

WALENTYNA WASILEWSKA: — Z wadliwej, przepełnionej kanalizacji.

REPORTER: — Pukamy do drzwi zastępcy naczelnika Urzędu Miasta i Gminy w Giżycku, doktora Mariana Lemecha.

MARIAN LEMECH: — Zdajemy sobie sprawę, że w chwili obecnej w Polsce 47 procent ścieków komunalnych jest nie odbieranych przez oczyszczalnię. Niemiej jednak ranga Giżycka na szlaku Wielkich Jezior jest nieco inna niż innych miast, lecz naszej oczyszczalni ścieków w planie inwestycyjnym nie ma dotychczas. Jest przygotowana dokumentacja, która oczekuje; to dokumentacja na oczyszczalnię biologiczno-chemiczną wysokiej jakości. Koszt globalny sięga około 450 milionów złotych. Niemniej jednak główny problem nie w pieniądzach, a w wykonawstwie. Na terenie województwa suwalskiego nie ma takiego przedsiębiorstwa, które wykonałoby to zadanie swoimi siłami. Natomiast na szczeblu centralnym nie dopracowaliśmy się takiej instytucji, która mogłaby segregować zadania na ważne i mniej ważne. Na zasadach koleżeńskich, niestety, trudno się doprosić. W tej sytuacji poruszyliśmy wszelkie możliwe czynniki społeczne i administracyjne, żeby wprowadzić tę oczyszczalnię do najbliższego planu pięcioletniego. Między innymi dzięki naszym tutaj działaniom — nasz poseł, Więcek, poruszył ten problem w interpelacjach poselskich; omówiliśmy to zagadnienie na spotkaniu MKZ „Solidarność" z wojewodą i naczelnikami miast województwa suwalskiego. Temat był przedstawiany przez naszych mieszkańców również w telewizji, w prasie i w radiu, jednak efektów tych poczynań nie widać w dalszym ciągu.

REPORTER: — Podejdźmy z prof. dr. hab. Stanisławem Bernatowiczem, hydrobiologiem, do jednego z kilku punktów zrzutu ścieków.

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Tu jest cała delta. Te osady, bez żadnego oczyszczania, co roku wybagrowywać muszą. Co roku bagrują, bo już nie byłoby można przejechać motorówką po tych ściekach. To są warunki superantysanitarne. Proszę bardzo, wszystko płynie w stanie surowym...

REPORTER: — Chyba nawet te ścieki nie są oczyszczone organicznie?

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Jeżeli w stanie surowym, to znaczy: absolutnie nie oczyszczone. Teraz jest niska temperatura wody, a latem jak tu cuchnie strasznie! A to przecież ciąg spacerowy. Tu się kwiatki sadzi, tu kawiarnia jest, tu ludzie przychodzą, przyjeżdżają nad tę wodę. Latem trudno tu przetrzymać, szczególnie jak wiatr wiele na ten brzeg, przy którym jesteśmy.

WALENTYNA WASILEWSKA: — Giżycko posiada centralne odprowadzenie ścieków komunalnych i przemysłowych z oczyszczalnią o dobowej przelotowości 8600 metrów sześciennych; obecna produkcja ścieków przekracza 10 000 metrów sześciennych na dobę. Po wstępnym podczyszczeniu w około czterdziestu procentach — ścieki odprowadzane są do jeziora Niegocin. W ich miejscu wpuszczenia do głębokości jednego metra zalega martwica, czyli nie ma tam jakiegokolwiek życia biologicznego.

STANISŁAW BERNATOWICZ: — A że ten kanał jest stale wzbogacany, dlatego występują tu bakterie coli w tak ogromnej ilości.

WALENTYNA WASILEWSKA: — W ciągu ostatnich lat wybudowano w Giżycku nowe osiedla: Wodne, Moniuszki; została też zagęszczona zabudowa niektórych ulic. Nic więc dziwnego, że główny kolektor, przebiegający ulicą Szelęgowskiego, a wybudowany po wojnie, źle funkcjonuje na skutek powstania odkształceń w stosunku do projektowanych spadów i wadliwej, naszym zdaniem budowy. W związku z tym od wielu lat wszystkie ścieki z kolektora w godzinach szczytu wyciekają do pobliskiego kanału, co jest widoczne...

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Widzimy taki zielony nalot; to właśnie jest przeżyźnienie; jeśli jest niska temperatura, to słabo się rozwijają, a jak się woda ogrzeje, pływają wtedy długie, zielone warkocze glonów nitkowatych — nieomylny znak przeżyźnienia. Poza tym pojawia się sinica, mikrocitis erudinose, która rozwija się w środowsku bardzo silnie przeżyźnionym. Przezroczystość wody spada wówczas prawie do zera. Oczywiście, jak szybko się pojawia, tak szybko obumiera i w postaci deszczu trupów bez przerwy opada na dno, a po drodze się rozkłada. Szybkość rozkładu jest uzależniona od ilości tlenu w wodzie. Ponieważ tlen jest tylko w górnej warstwie, więc większość nie rozłożonych glonów opada na dno. Osady denne szybko przyrastają, powodując większą jeszcze akumulację zanieczyszczeń.

WALENTYNA WASILEWSKA: — Poza tym w niedalekiej odległości od wlotu ścieków do kanału zlokalizowane jest kąpielisko miejskie, obliczone na dwa tysiące pięćset osób, międzyszkolna baza wodna LOK-u. Od lat woda w kąpielisku nie odpowiada normom drugiej klasy czystości. W związku z tym rokrocznie, decyzją państwowego terenowego inspektoratu sanitarnego kąpielisko jest nieczynne. Poza tym woda na pozostałych kąpieliskach, zlokalizowanych nad jeziorem Niegocin (jest tu kilka ośrodków wczasowych, które służą mieszkańcom Giżycka), jest również niepewna. Praktycznie turyści są pozbawieni dobrej wody do kąpieli.

REPORTER: — Wstąpmy jeszcze na chwilę do siedziby gospodarstwa rybackiego w Giżycku. W gabinecie dyrektora, Janusza Godzińskiego, nie za wiele akcentów rybackich, tylko dwa wielkie łby szupaków. Takich już chyba w jeziorach mazurskich nie ma?

JANUSZ GODZIŃSKI: — Narzędzia kłusownicze typu ościenie...

REPORTER: — Takich szczupaków już chyba w jeziorach nie ma?

JANUSZ GODZIŃSKI: — No, chyba jeszcze są, my nie jesteśmy w stanie wszystkich ryb ni policzyć, ni złowić.

REPORTER: — Wiem, że zawiaduje pan największym śródlądowym przedsiębiorstwem rybackim w Polsce.

JANUSZ GODZIŃSKI: — Mamy około czwartej części wszystkich jezior w kraju, tak że problem gospodarki jeziorowej w województwie suwalskim jest zagadnieniem znaczącym w gospodarce.

REPORTER: — Wiem, że jeziora są systematycznie zatruwane. Jak odczuwa to gospodarka rybacka?

JANUSZ GODZIŃSKI: — Jeziora są zanieczyszczane wszelkiego rodzaju środkami, zaczynając od chemii rolnej, poprzez ścieki przemysłowe, komunalne... dlatego że w naszym województwie jesteśmy ubodzy w urządzenia oczyszczające. Brak środków, brak mocy wykonawczych, tak że — faktycznie rzecz biorąc — żadne miasto, żadna aglomeracja miejska nie ma z prawdziwego zdarzenia kompleksowej oczyszczalni ścieków.

REPORTER: — Spodziewam się, że połowy z roku na rok maleją?

JANUSZ GODZIŃSKI: — Połowy nie maleją, ale my dostrzegamy zagrożenie dość poważne gospodarki rybackiej. No, może to jest fragment zagrożenia ogólnobiologicznego.

REPORTER: — Dowiedziałem się, iż nawet niektóre akweny są już tak zatrute, że ryby z nich nie bardzo nadają się do jedzenia?

JANUSZ GODZIŃSKI: — Tak, związkami fenolowymi. Oczywiście, znane to jest powszechnie w Polsce. Tam, gdzie jest kontakt z przemysłem, tam jest zagrożenie tego typu. Tkanki ryb są przesiąknięte, są elementy wonne czy smakowe tego typu, że już nie kwalifikują się ich do spożycia. Chcemy, żeby on był poważnie dostrzeżony przez ogół ludzi. Wiadomo, że szkodliwe oddziaływanie chemii może mieć bardzo ujemny i poważny w skutkach udział w ograniczaniu naturalnego rozrodu ryb. To znaczy: proces rozrodu następuje, ale proces inkubacji i wylęgu z ikry młodzieży nie następuje. To jest bardzo niebezpieczne, a w skutkach może być bardzo szkodliwe zjawisko przyrodnicze.

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Przejdźmy jeszcze w kierunku Jeziora Niegocińskiego. Mówiąc o degradacji środowiska wodnego trzeba mieć na względzie nie tylko samą wodę, ale również osady denne, które w naszych jeziorach silnie zeutropizowanych — to znaczy: przeżyźnionych — są dość powszechne. Te osady denne również akumulują w sobie elementy przeżyźnienia, więc gdybyśmy, teoretycznie, wyczerpali wodę z jeziora całkowicie i napełnili je czystą, to wkrótce i ona stałaby się równie zanieczyszczona, ponieważ osady denne będą oddawały zanieczyszczenia. Dlatego proces samooczyszczania zbiornika jest bardzo długi, nawet jeśli będzie odcięty dopływ wód zanieczyszczonych. Dla turysty, dla humanisty, dla człowieka, który się nie zna i znać nie może na procesach zachodzących w wodzie, obraz zewnętrzny środowiska wodnego jest bardzo złudny, bo degradacja jeziora, jego śmierć idzie od dołu. Pojawia się na dole siarkowodór, gaz trujący, tlenu ubywa, i ta warstwa wody beztlenowej coraz bardziej się do góry posuwa.

REPORTER: — Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego przed czterema laty rybacy na Niegocinie w jednym zaciągu wyłapywali prawie trzy tony węgorzy: węgorze uciekały od dna po prostu.

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Oczywiście, bo tam nie ma tlenu. Poniżej szesnastu metrów w Jeziorze Niegocińskim praktycznie tlenu nie ma.

REPORTER: — Jaka jest głębokość tego jeziora?

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Nie jest ono takie głębokie, ma trzydzieści siedem metrów jedynie. Wobec tego, że tlen znika od dołu, nie tylko niszczy występującą tam faunę denną, która stanowi pokarm dla ryb, ale zwalnia proces rozkładu materii organicznych, czyli że samooczyszczanie w ten sposób zostaje zahamowane, natomiast rośnie zanieczyszczenie. Górą mogą jeszcze jakieś rybki pływać, ale jak już ten proces dotrze pod powierzchnię, jezioro będzie martwe zupełnie.

REPORTER: — Wszystkie większe jeziora na szlaku mazurskim właśnie są w takim stanie.

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Tak, są w takim stanie.

MARIAN LEMECH: — Na terenie województwa suwalskiego aktualnie buduje się oczyszczalnie w Ełku, Augustowie i Suwałkach. Mamy taką nadzieję, że jeśli zostaną zakończone inwestycje w tych miastach, wówczas intensywnie przystąpi się do prac w samym Giżycku. Obawiam się tylko, czy nie będzie to za późno, ponieważ postęp zamierania życia biologicznego jest tak raptowny, że możemy wkroczyć do martwego jeziora Niegocin. Normy zanieczyszczenia są kilkadziesiąt razy przekroczone. Rozpatrywanie sprawy ochrony środowiska li tylko przez mieszkańców naszego miasta czy województwa jest zawężeniem problemu. Wydaje mi się, że istnieje społeczny podział zadań w kraju, i skoro niektóre regiony ratują cały naród, np. ich zabytki, to sprawa ratowania Mazur, terenów które są przeznaczone pod rekreację i wypoczynek, powinno się interesować również całe społeczeństwo. Na to także powinny pójść dotacje ze szczebla centralnego. Tak byśmy widzieli rozwiązanie tego problemu.

REPORTER: — Czy na przykład w tym roku może znowu wybuchnąć epidemia czerwonki w Giżycku?

MARIAN LEMECH: — Nikt takiej gwarancji nie da, że ona nie wybuchnie.

REPORTER: — Jeziora nie nadają się już do kąpieli. Budowa oczyszczalni w Giżycku też sprawy nie załatwi, bowiem w województwie suwalskim nie ma jednolitego, jednorodnego planu ochrony wód. Nie tylko miasta zatruwają wody powierzchniowe czyli rzeki i jeziora; spustoszenie czynią: bezmyślna melioracja i nawożenie mineralne w pobliżu zbiorników wodnych. Osobnym zagadnieniem jest gnojowica z wielkich ferm bydlęcych, ale to temat na inną audycję.

TOMASZ PIOTROWSKI

PAMIĘTNIK NASTOLATKA

kłopoty z mamą

4 IX 1980 r.

Właściwie trudno mi powiedzieć, od kiedy i dlaczego zaczęłam tracić z mamą wspólny język... Może dlatego, że przestałam już być małą dziewczynką, a mama jakby tego nie zauważyła i ciągle traktuje mnie jak dziecko... Faktem jest, że w tej chwili nie ma mowy o jakimkolwiek porozumieniu między nami. Mama mnie po prostu nie chce zrozumieć! Nigdy nawet nie usiłuje ze mną porozmawiać jak z dorosłym człowiekiem. Kiedy zwracam jej uwagę, że mam już 15 lat, odpowiada: „Nie dyskutuj ze mną, ma być tak jak mówię, i koniec". W ten sposób ucina każdą próbę porozumienia z mojej strony. Poza tym ciągle ma mi coś za złe. Cokolwiek zrobię — zawsze jest nie tak. Coraz częściej wybuchają kłótnie w naszym domu, i to z byle powodu... O to, że chcę oglądać wieczorem film w telewizji, o to, że idę do koleżanki, o to, że koleżanka przychodzi do mnie. Coraz trudniej jest w naszym domu wytrzymać.

PRZYKŁAD Nr 1

MAMA: — Tyle razy prosiłam cię, żebyś nie rozkładała wszędzie swoich rzeczy!

JA: — Oj, mamo, spieszę się...

MAMA: — ciągle gdzieś spieszysz, a ja muszę po tobie zbierać. Służącej w domu nie ma!

JA: — Jak wrócę, to sprzątnę! W tym domu o niczym innym się nie mówi, tylko o robieniu porządków.

MAMA: — Skoro zwalasz wszystko na moje ręce, trudno żebym o czymś innym mówiła. Sama w domu nie mieszkasz! Jak będziesz miała swój dom, będziesz robiła, co ci się podoba. A teraz nie wyjdziesz, zanim nie sprzątniesz!

JA: — Proszę bardzo, mogę w ogóle z domu nie wychodzić! Wszystkiego mi zabraniacie!

Wydaje mi się, że mama myśli następująco:

Ala jest ciągle na „nie". Na każdą moją uwagę reaguje agresywnie. A ja czuję się już po prostu zmęczona. Może to prawda, że powinnam machnąć ręką na porządki i gotowanie obiadów z trzech dań, a pomyśleć bardziej o sobie. Ale ja tak po prostu nie potrafię... Lubię kiedy w domu jest porządek, kiedy są zrobione weki na zimę i rodzina ma wszystko, co potrzeba. Łatwiej byłoby, gdyby córka pomagała mi trochę w pracach domowych. Ala jednak wszystko robi jakby z łaski i do tego byle jak. Złości mnie, kiedy ona słucha godzinami płyt albo chichocze z koleżanką, podczas gdy ja piorę, prasuję, gotuję... Żeby jeszcze zechciała przynajmniej po sobie posprzątać. Ale gdzie tam! Tylko jej w głowie telewizja, płyty i koleżanki...

18 IX 1980 r.

PRZYKŁAD Nr 2

MAMA: — Wyłącz wreszcie ten adapter! Głowa po prostu puchnie! Słuchasz już tego od dwóch godzin. Wzięłabyś się za coś!

JA: — Przecież uczę się na jutro do klasówki!

MAMA: — Przy takiej głośnej muzyce? Przecież człowiek własnych myśli nie słyszy!

JA: — Ja się inaczej uczyć nie potrafię!

MAMA: — No, właśnie, a potem masz doskonałe wyniki! Do klasówki z matematyki też się uczyłaś przy adapterze. I co? Potem ja umszę oczami świecić na wywiadówkach.

JA: — Z matmy wcale nie dlatego dostałam dwóję, że się uczyłam przy muzyce. Po prostu nie zdążyłam wszystkiego przerobić!

MAMA: — Ty zawsze znajdziesz dla siebie jakieś usprawiedliwienie! Ja w twoim wieku takich warunków do nauki nie miałam...

Najbardziej denerwuje mnie, że mama ciągle porównuje siebie, jak była w moim wieku, ze mną. Czasem odnoszę wrażenie, jakby była dumna z tego, że ona wychowywała się w tak ciężkich warunkach. Ale czy to moja wina, że wtedy, kiedy ona była dzieckiem, trwała wojna? A później, kiedy stała się nastolatką — były ciężkie lata powojenne? Ciągle tylko słyszę: „Ty, dziecko, nie umiesz docenić tego, jak ci dobrze", albo „Wy, młodzi, myślicie, że wam się wszystko od życia należy". Dorośli wygłaszają często takie zdania z wielką pewnością siebie A skąd oni tak wiedzą na pewno, co my, nastolatkowie, cenimy i czego od życia oczekujemy? Moim zdaniem, nie mają prawa nas osądzać, biorąc pod uwagę tylko to, że lubimy słuchać młodzieżowej muzyki, że chcemy modnie się ubierać i chodzimy na dyskoteki. Często odnoszę wrażenie, że nasi rodzice znają nas w gruncie rzeczy bardzo mało. Ciągle widzą w nas dzieci, i po prostu nie chcą lub nie mogą dostrzec w nas swoich partnerów. Moja mama, na przykład, interesuje się tylko tym, co dostałam w szkole, czy odrobiłam lekcje, czy jadłam obiad, gdzie byłam itp. A jak tylko jest coś nie tak, zaraz mówi: „Ja w twoim wieku..."

6 X 1980 r.

PRZYKŁAD Nr 3

MAMA: — Jak powiedziałam nie, to nie! Nie pójdziesz i już! To nie jest towarzystwo dla ciebie!

JA: — Oj, mamo, przecież ich zupełnie nie znasz! Obiecałam, że przyjdę, wszyscy czekają.

MAMA: — Trzeba było nie obiecywać. Potem mi sąsiadki mówią, gdzie i z kim łazisz. Za młoda jeszcze jesteś. Weź się lepiej do nauki!

JA: — Jestem jak więzień! Niczego mi nie wolno! W końcu raz w życiu ma się 15 lat!

MAMA: — Dopiero 15 lat! Poza tym wiele słyszałam o twoim towarzystwie i nie życzę sobie, żebyś się w nim afiszowała po mieście!

Wydaje mi się, że mama myśli następująco:

Wiele w życiu przeżyłam, wiele widziałam. Znam się na ludziach. Chciałbym ustrzec Alę przed pewnymi rzeczami. Chciałabym podzielić się z nią własnymi doświadczeniami, żeby nie popełniała tych samych błędów, które ja kiedyś popełniłam. Co z tego jednak, kiedy ona nie chce mnie słuchać! Gdy zwracam jej uwagę — jej zdaniem: „czepiam" się bez powodu, mam zły humor lub jestem złośliwa. Ale nie przyjmuje po prostu do wiadomości, że ja naprawdę chcę jej pomóc, że chciałabym, aby było jej w życiu lepiej niż mnie. Ja, kiedy byłam dziewczynką, nie miałam niczego. Dlatego może teraz cieszy mnie każdy drobiazg. Wszystko, co z mężem mamy, zawdzięczamy tylko sobie i naszej ciężkiej pracy. Doceniamy to.

28 X 1980 r.

PRZYKŁAD Nr 4

MAMA: — Nie mogę ci kupić magnetofonu, bo spłacamy jeszcze meble i telewizor. I koniec dyskusji!

JA: — Wszystkie koleżanki mają, tylko ja jedna nie mam! Ciągle tylko na coś ciułacie. Zwariować można!

MAMA: — Jak byśmy nie ciułali, niczego byś nie miała. Gdy sama będziesz zarabiała, wtedy może to zrozumiesz.

JA: — Teraz też niczego nie mam. A te meble i tak mi się nie podobają!

MAMA: — To kup sobie ładniejsze! Proszę bardzo!

Moi rodzice okropnie liczą się z opinią innych. O niczym innym nie myślą, tylko o tym, co powie sąsiadka, co ciocia, co koledzy z pracy. Denerwuje mnie to. Czy naprawdę wszystko musi być tak na pokaz? Wolałabym, żebyśmy żyli trochę bardziej „na luzie", bez tego ciągłego ciułania i liczenia. A tak ciągle słyszę: „Nie dostaniesz tego, bo musimy spłacić to czy tamto". Teraz, na przykład, tata uparł się, że musimy mieć fiata, i kiedy spłacimy inne raty, będziemy od nowa zbierali. Okropność! Tata o niczym innym nie mówi, tylko o tym fiacie, a znów mama chce pralkę automatyczną. Czy ktoś pomyśli o magnetofonie dla mnie?

3 XI 1980 r.

PRZYKŁAD Nr 5

MAMA: — Proszę cię, zwiąż te włosy! Wyglądasz okropnie niechlujnie. I odgarnij tę grzywkę z czoła.

JA: — A mnie się taka fryzura podoba i już!

MAMA: — Nie wyjdziemy z domu, póki się nie uczeszesz! Wstyd się z tobą pokazać.

JA: — Bardzo chętnie nie pójdę! Nudzą mnie te wasze rodzinne uroczystości. A będę się tak czesała, bo teraz taka moda!

Wydaje mi się, że mama myśli tak:

Ala traktuje zdanie swoich koleżanek jak wyrocznię. Z ich opinią liczy się najbardziej. Denerwuje mnie, że nie ma indywidualności, że chce się do nich upodobnić. Zamyka się ze swoją koleżanką w pokoju i godzinami chichoczą. Złoszczę się, bo potem odrabia lekcje po nocach. Nie wiem, dlaczego, ale obie przy nas mają takie miny, jakbyśmy byli ich wrogami. Widzę, że z góry zakładają, iż nie jesteśmy w stanie ich zrozumieć, że my i oni to inny świat. Ale wcale nie interesuje to, czy mamy jakieś problemy w pracy. Z nami tylko zjada obiad i odchodzi do własnych spraw. Po prostu: niewiele ją obchodzimy.

Wydaje mi się, że mama by chciała ze mną porozmawiać, zacząć jakąś rozmowę...

16 XI 1980 r.

PRZYKŁAD Nr 6

MAMA: — Prosiłam cię, żebyś była punktualna w domu! Czekam, denerwuję się, już chciałam na milicję dzwonić!

JA: — Przecież nie jestem dzieckiem! Co mi się może stać?

MAMA: — Jak będziesz miała 30 lat, to się też będę denerwowała, jeżeli nie wrócisz o godzinie, o której obiecałaś! A poza tym masz dopiero 15 lat i twoim obowiązkiem jest wracać do domu o ustalonej godzinie!

Często chciałabym z mamą o czymś porozmawiać, poradzić się albo jej pomóc, ale to niemożliwe! Wiem, to głupie, ale stało się jakoś tak, że się po prostu wstydzę. Niedawno zaczęłam bez awantury zmywać naczynia. Ile było potem wydziwiania i cudowania! Wreszcie oboje doszli z ojcem do wniosku, że muszę czegoś od nich potrzebować i dlatego chcę się podlizać! Raz poradziłam się mamy, jak uszyć sobie nową sukienkę. Zareagowała zdziwieniem: „A co to się stało, że mnie pytasz? Pokłóciłaś się z Dorotą?" I tak zawsze. Doszło do tego, że mama dziwi się, kiedy jestem chora albo czegoś potrzebuję. Przyzwyczaiła się po prostu, że wymieniamy zwykłe zdania podniesionym głosem. W domu panuje przykra, napięta atmosfera. Wiem, że wiele moich koleżanek z klasy także „walczy" ze swoimi rodzicami. Są jednak również takie, które znalazły w rodzicach przyjaciół. Ciekawa jestem, od czego to zależy... Ja również chciałabym mieć w mamie przyjaciółkę. Chciałabym, ale wiem, że to niemożliwe.

ALICJA RYŃSKA
Wejherowo
Fot. GABOR LÜRINCZY

pokolenie

Za uśmiech dziecka

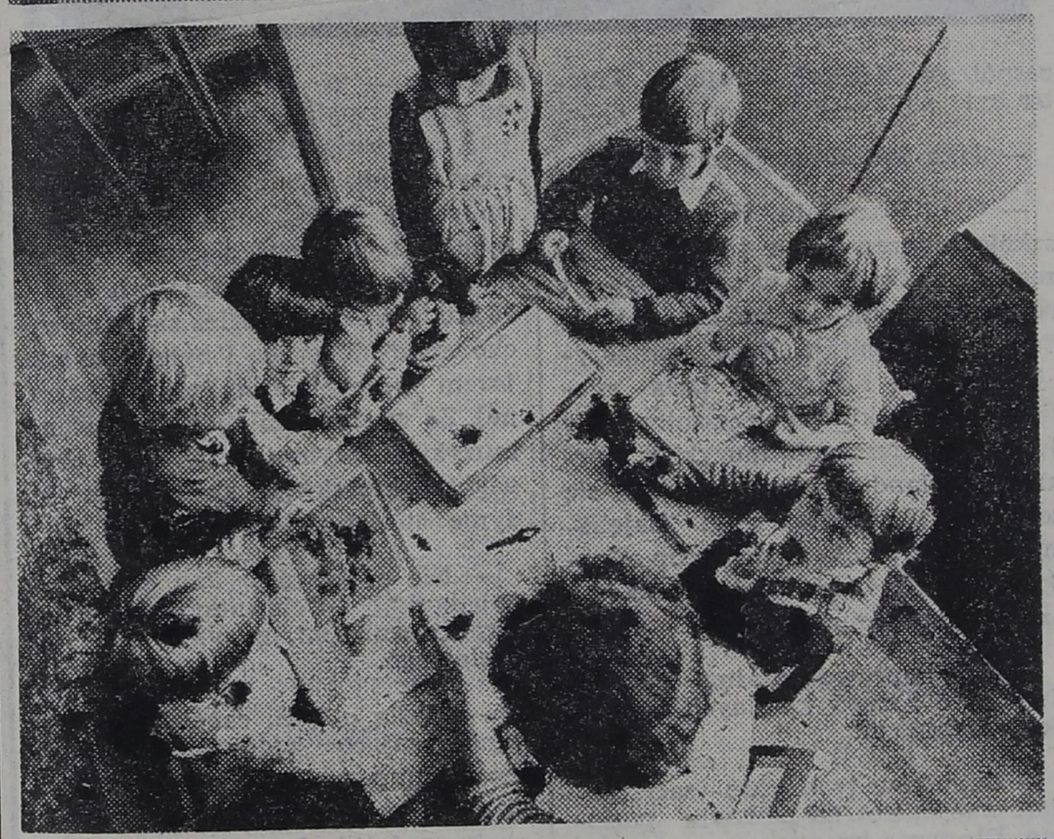

1 września pracownicy Zakładów Płyt Wiórowych w Grajewie przekazali miastu 4-oddziałowe przedszkole dla 120 dzieci. Rozładowało to złą atmosferę, jaka wytworzyła się w mieście po kwietniowym rozdziale miejsc. Z dziennikarskiego obowiązku podajemy chronologicznie, jak owocowała — nie dająca się biedzie — pomysłowość i jak rozwijał się zespolony wysiłek.

20 maja egzekutywa KZ PZPR w grajewskiej „płycie" podjęła uchwałę adoptowania baraku hotelu robotniczego na przedszkole miejskie. Propozycja przedstawiona została samorządowi robotniczemu. Już następnego dnia otrzymała poparcie Rady Zakładowej NSZZ Leśników i Drzewiarzy oraz Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność". Ambicją wszystkich stało się nagle oddanie i zagospodarowanie budynku do 1 września. Roboty ruszyły pełną parą. Dyrektor Jan Kowalski odświeżył swoje znajomości w całym kraju. Na zasadzie handlu wymiennego zaczęły nadchodzić różne urządzenia, meble, zabawki i inne niezbędne przedmioty. Oddelegowano do prac ludzi z zakładu, nie mających zatrudnienia z powodu luzów produkcyjnych. Przyszli też z pomocą fachowcy, biorący udział w planowanych remontach maszyn. Zjednoczeni wspólnotą interesów — wykonawcy zdążyli na czas.

— Jestem zadowolona, że mnie tu przyjęli — zauważyła rezolutnie Kasia Formajster z grupy starszaków. A Tomek Ciebelinski i Grzesio Karpowicz chórem stwierdzili, że w nowym przedszkolu najładniejsze są zabawki, na baterie a najgorszy — kisiel.

Tekst i zdjęcia
GABOR LÖRINCZY

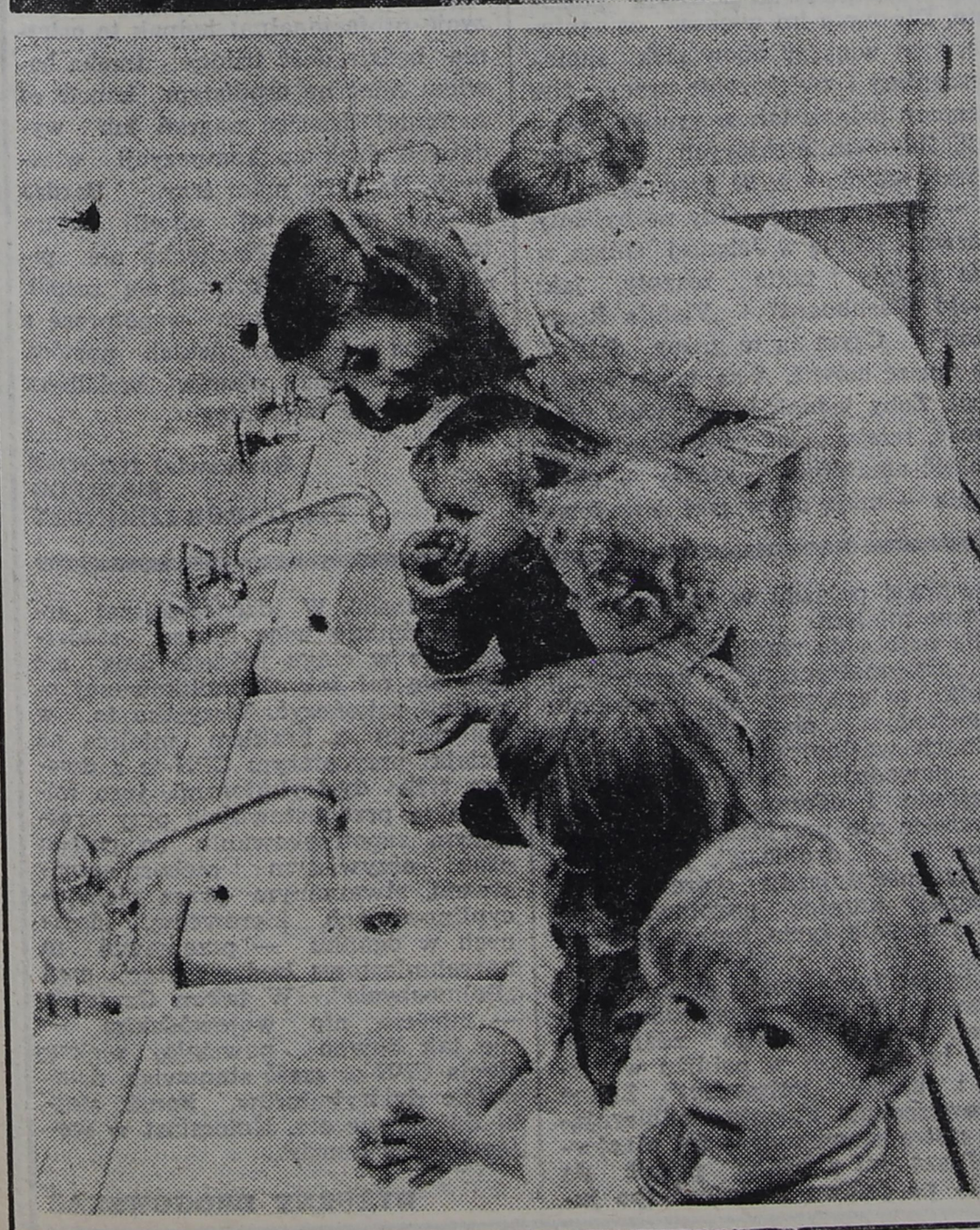

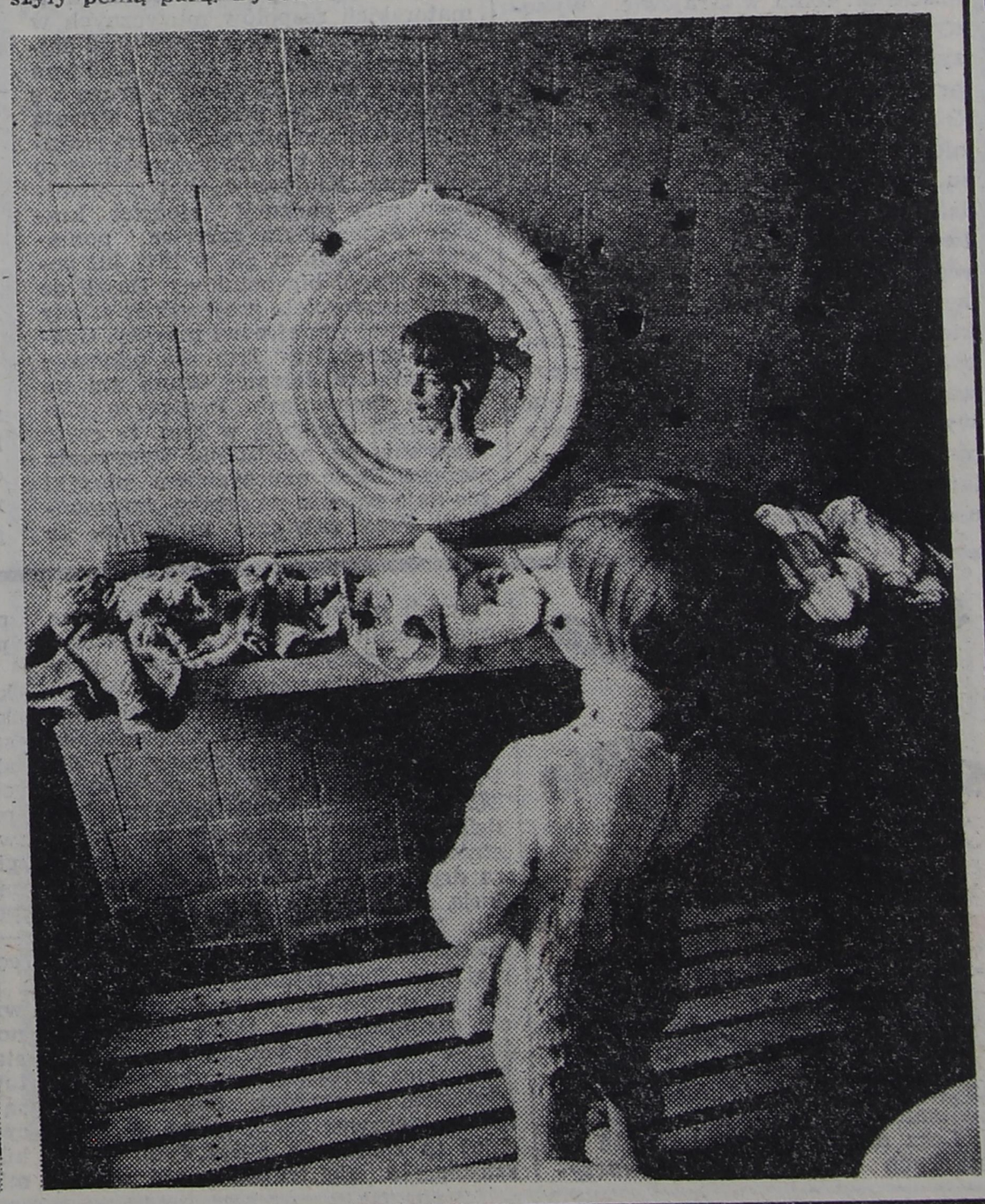

PREZENTACJE

muzykowanie w Grajewie

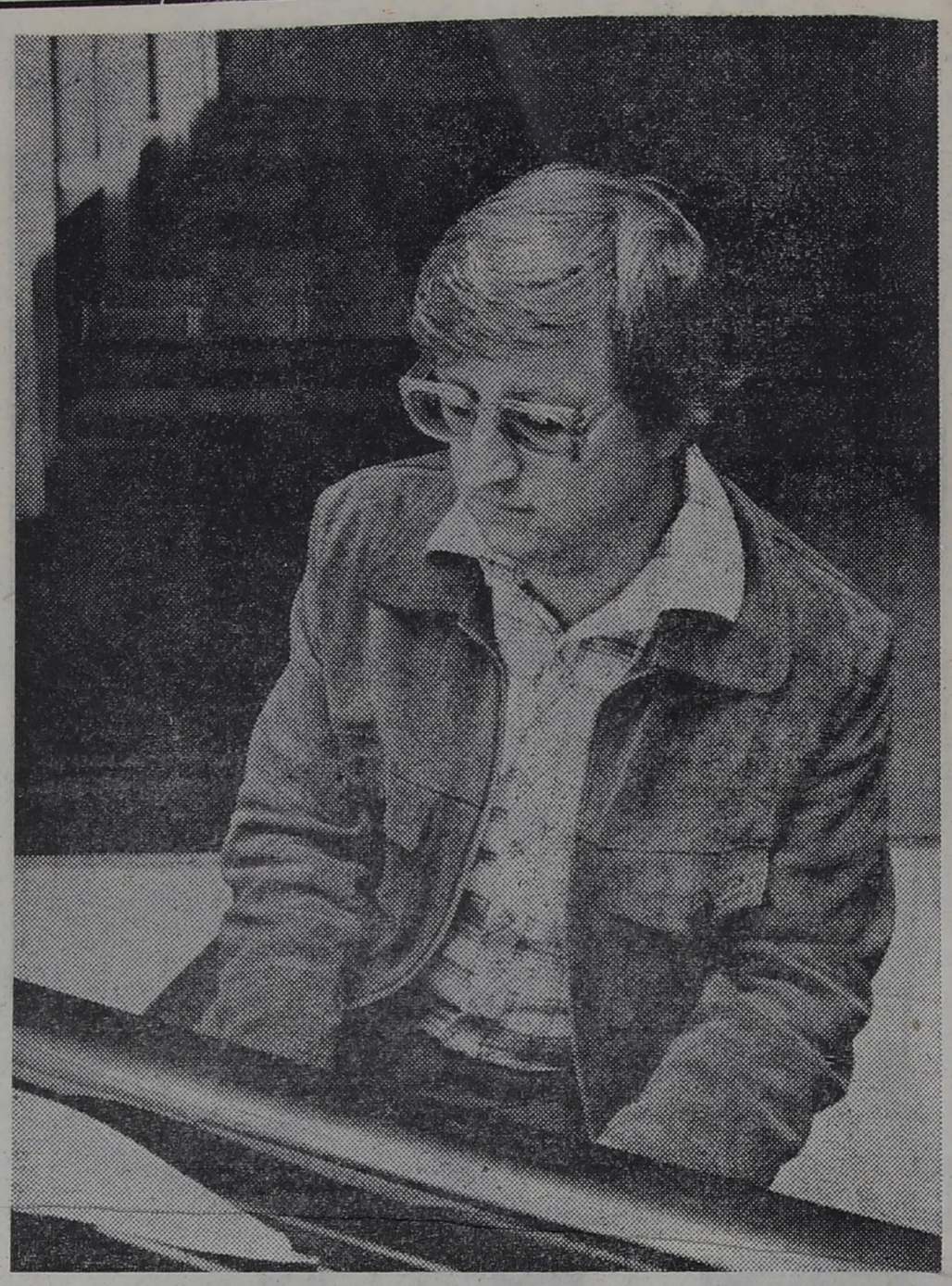

Antoni Czajkowski. Urodzony w 1946 roku w Grajewie. Studia magisterskie w zakresie wychowania muzycznego w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie (1976 r.). Absolwent studium doktoranckiego na Wydziale Teorii Kompozycji w warszawskiej Akademii Muzycznej (1981 r.) Od 1974 roku dyrektor Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia w Grajewie. Członek ISME (Międzynarodowego Towarzystwa Wychowania Muzycznego).

— Gdy rozmawialiśmy dwa lata temu, wiązał Pan duże nadzieje z, powołanym przez siebie, nowym kwintetem jazzowym. Co z tych nadziei zostało?

— To samo, co z poprzednich. Nic. Zespół się rozwiązał. A były to faktycznie moje największe oczekiwania. W kwintecie zetknąłem się z najlepszymi ludźmi spośród tych, z jakimi dotychczas pracowałem. Poza grającym na gitarze basowej Waldemarem Krajewskim, wszyscy byli nauczycielami szkoły muzycznej I stopnia w Grajewie. Na saksofonie altowym grał Ryszard Deluga, na perkusji jego brat — Waldemar, na flecie — Ryszard Jasionowski. Ja grałem na fortepianie. Korzystałem z tekstów Teresy Płacheckiej z Warszawy, której poetyckie utwory zwróciły moją uwagę w roku 1978 i zacząłem pisać do nich muzykę. Wkrótce wzięliśmy razem udział w V Ogólnopolskim Konkursie na Piosenkę „O Nagrodę Warmii i Mazur", gdzie w otwartym konkursie kompozytorskim zajęłem II miejsce za utwór „W miasteczku", do którego Teresa Płachecka napisała słowa. W październiku 1979 kwintet nagrywał dla Polskiego Radia. Interesowała się nami również grupa „Vox", proponując współpracę, ale — z różnych względów — nic z tego nie wyszło.

— Dlaczego przestaliście działać?

— Prześladuje mnie pech. Gdy tylko założona przeze mnie grupa zaczyna się scalać lub osiągać jakieś poważniejsze skucesy, rozpada się. Tak było z pierwszym zespołem, „Optim-69", który stworzyłem dwanaście lat temu w Grajewie. Wykonywaliśmy rytmy południowe i muzykę w stylu „Tijuana Brass". Na przeglądzie zespołów rozrywkowych Białostocczyzny dostaliśmy wyróżnienie już w roku powstania zespołu. Był to zarazem rok zakończenia działalności. Na bazie „Optima-69" utworzyłem septet dixielandowy, którego byłem — jak we wszystkich powołanych przez siebie grupach — kierownikiem i aranżerem. Do zespołu weszli ludzie grający w miejscowej restauracji, ale z autentycznym wyczuciem swingu. Zacząłem wtedy pisać pierwsze kompozycje dixielandowe. W roku 1970 wyróżniono nas na przeglądzie grup młodzieżowych w Białymstoku, a w rok potem — na VIII krajowym festiwalu amatorskich zespołów muzycznych w Jeleniej Górze — byliśmy drudzy. Przeżyłem wtedy najpiękniejszy wieczór mego życia, gdy publiczność zmusiła nas do 20-minutowego bisowania, w czasie którego, stojąc, biła nam brawo, a na koniec odśpiewała „Sto lat". W roku 1972 na festiwalu „Jazz nad Odrą" wprawdzie nie było nagród, ale za to pochlebne wzmianki w recenzjach i nagranie dla TVP. W październiku tegoż roku zajęliśmy II miejsce na krajowym festiwalu zespołów spółdzielczości pracy, a w listopadzie byliśmy pierwsi na IX ogólnopolskim festiwalu amatorskich zespołów muzycznych w Jeleniej Górze i zdobyliśmy tytuł najlepszego zespołu w kraju. Ludziom uderzyła woda do głowy i grupa się rozpadła. Na jej podstawie wyrosła druga — dixielandowa. Miała ciekawy skład, nie tyle instrumentalny, co społeczny. Klarnecista był mechanikiem, przy perkusji siedział krawiec. Potem była przerwa, ponieważ studiowałem, ale w 1977 już powstał zespół big-bandowy. Doszli do niego nauczyciele grajewskiej szkoły muzycznej i miejscowi muzycy. Graliśmy przez trzy lata nie odnosząc sukcesów w Jeleniej Górze ani na innych festiwalach. Przyczynę niepowodzeń upatruję w tym, że część muzyków po prostu nie wyczuwała swingu. Bycie nauczycielem muzyki nie daje patentu na sztukę improwizacji. Przez cały czas myślałem, że zespół się „dotrze". Niestety. Trzeba było się rozstać.

— Jaka jest sytuacja na dzisiaj?

— Głód warsztatu. W grajewskiej szkole muzycznej nie ma żadnego zespołu. Na razie współpracuję z reprezentacyjną orkiestrą Huty Szkła w Wołominie. Piszę kompozycje, aranżuję i dyryguję. Dwa miesiące temu orkiestra uczestniczyła w światowym festiwalu muzyki w Kerkrade (Holandia), gdzie spotykały się zespoły z 25 krajów świata. Zajęliśmy II miejsce w kategorii grup estradowych i III w tzw. show-band, tj. przemarszu z muzyką przez stadion.

— Czy naprawdę można pechem tłumaczyć rozpad kolejnych Pańskich zespołów?

— Członków tych grup satysfakcjonował sukces na pewnym poziomie. Dla mnie im większe osiągnięcie, tym większy obowiązek samodyscypliny i zwiększenie pracy. Nie wszyscy jednak tak w grupie uważali. Zdaniem niektórych decyduje talent: moim — w 90 proc. praca, w 10 — predyspozycje. Gdy zdobyliśmy pierwszą lokatę w Jeleniej Górze, w tyle zostały takie zespoły, jak: „Gold Washboard" i „Vistula River Band". Czym są te grupy dzisiaj, nie muszę mówić. A są dzięki wysiłkowi. Żeby jednak intensywnie pracować, trzeba mieć czas. Trudno go znaleźć amatorom, którzy — obok grania — mają obowiązki zawodowe i rodzinne. To zasadniczo ich różni od profesjonalistów; aby im dorównać, amator musi pracować dwa razy więcej, wyrzekając się niejednokrotnie życia osobistego. Mnie było na te wyrzeczenia stać, chociaż łatwo nie przyszły. W latach 1972—76 studiowałem przecież zaocznie wychowanie muzyczne i byłem dyrektorem grajewskiej szkoły muzycznej. Ze względu na chęć uprawiania muzyki odłożyłem otwarcie przewodu doktorskiego; skończyłem jedynie studia doktoranckie.

— Nie próbował Pan grania w pojedynkę? Uchroniłoby to przed rozczarowaniami muzykowania zespołowego.

— Myślę o tym, chociaż byłbym wystarczająco zadowolony, gdyby moje kompozycje wykonywali inni. Zamierzam przejść na grę i kompozycję profesjonalną; jednak to ostatnie będzie dość trudne: trzeba bowiem mieć na osobistym koncie co najmniej dziesięć nagrań lub wydanych drukiem kompozycji własnych. Na razie mam trzy. Bardzo brakuje mi w tej chwili autora tekstów. Teresa Płachecka nie pisze od czasu, gdy rozpadł się zespół. Chętnie nawiązałbym współpracę z którymś z łomżyńskich poetów. Szczegóły moich planów wolałbym zachować w tajemnicy.

Rozmawiał JULIUSZ ŚWIREDO
Fot. GABOR LÖRINCZY

skrzyż**O**wania
skrzyż**O**wania

myślenie w ogonku

Przyzwyczailiśmy się już do widoku tabliczki z napisem: „Brak paliwa" przed stacjami CPN-u, do wielogodzinnego oczekiwania na zatankowanie pojazdu. Lecz nie sposób przywyknąć do niektórych okoliczności towarzyszących owemu oczekiwaniu, a są one czasem wręcz oburzające. Przykład — stacyjka benzynowa przy zbiegu ulic Nowogrodzkiej i Wiejskiej. Do wjazdu pod dystrybutory tasiemcowa kolejka samochodów, ciągnąca się z jednej strony aż na Piękną, a z drugiej — do połowy Nowogrodzkiej. Sama kolejka jest dziś rzeczą normalną, ale jej uczestnicy ustawiają samochody jeden za drugim nie bacząc na to, że parkują na przejściu czy skrzyżowaniu. Na środku przejścia na Nowogrodzkiej przy Wojska Polskiego stoi żuk. Przechodzący przez jezdnię chłopczyk jest przezeń całkowicie zasłonięty, sam także nie widzi jezdni i wchodzi wprost pod nadjeżdżającą zastawę. Pisk opon, przekleństwa, przerażony malec ucieka. A kierowca żuka, mimo iż widział to zdarzenie, które omal nie zakończyło się tragedią, ani myśli przestawić pojazdu w bardziej bezpieczne miejsce.

Nie należą do rzadkości przypadki „niesymetrycznej" konstrukcji kolejki, polegającej na ustawianiu samochodów obok siebie po obu stronach wąskiej ulicy, co w efekcie powoduje skuteczną blokadę przejazdu. I nikomu z kierowców w kolejce nie przyjdzie nawet do głowy taki „drobiazg", jak uniemożliwienie dojazdu wozem straży pożarnej, karetce pogotowia czy — zatruwanie życia innym kierowcom.

Parę lat temu dość głośno mówiono w Łomży o wybudowaniu nowej, z prawdziwego zdarzenia, stacji benzynowej w pobliżu warsztatu i sklepu „Polmozbyt". Znane są powszechnie kłopoty odbierających nowe samochody z tej placówki. Muszą oni z bańką pędzić do miasta po paliwo i wracać (po jakimś czasie). W dzisiejszejszej sytuacji śmiało więc można stwierdzić, że w ciągu jednego dnia nie uda się mi tak skomplikowanej operacji zakończyć. Wszystko to, w połączeniu z brakiem miejsca na kolejki przy starym CPN-ie z dwoma tylko dystrybutorami, jego minimalną przepustowością przy rosnącym zapotrzebowaniu na paliwo oraz oczywistym niebezpieczeństwem, stwarzanym przez niezdyscyplinowanych kierowców, stojących w ogonku — przemawia za natychmiastową budową stacji przy „Polmozbycie". W takim Czyżewie — mieście nie wojewódzkim — nie tak dawno powstała piękna stacja CPN-u: sześć stanowisk, dwanaście dystrybutorów, kanał, alejki dojazdowe etc. Natomiast w wojewódzkiej Łomży...

DYŻURNY DROGOWSKAZ

kronika towarzysko-rodzinna

pod redakcją Gabora Lörinczego

ZDZISŁAWA KONOPKO jest kelnerką, JAROSŁAW GROMEK kierowcą. — Dramat przeżyliśmy przed ślubem, gdy zmarł tatuś. Szkoda, że nie mógł być świadkiem zawarcia naszego związku. Marzeniem moim jest żyć w zgodzie i szczęśliwie. Otrzymać mieszkanie, bo od czterech lat jestem członkiem spółdzielni mieszkaniowej.

— Żonę poznałem będąc konsumentem w restauracji hotelu „Polonez" — mówi Jarek. — Bardzo uprzejmie mnie obsłużyła. Może i prywatnie będzie tak dobrą gospodynią.

IRENA DĘBOWSKA z Kupisk Nowych i WIESŁAW ŻYŁKO „odkryli się" dziewięć miesięcy temu, w pracy. Ona jest pracownikiem umysłowym i pragnie skończyć studia. On jest rolnikiem z zawodu, ale pracuje jako kierowca. Bardzo przeżył śmierć matki dwa lata temu. Pragnie zbudować dom dla przyszłej rodziny.

MARIA GÓRALSKA i ROBERT URBANEK zawarli znajomość po studniówce, u znajomych. Żyją dniem dzisiejszym. Marzą, by mieć samochód i by nie było kolejek do lad sklepowych.

17.09.1981 TV 23.09.1981

CZWARTEK 17 WRZEŚNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — biologia, sem. III — Jak odżywiają się zwierzęta? 6.30. TTR, mechanizacja rolnictwa, sem. III — Mechanizacja nawożenia organicznego. 8.10. Przysposobienie obronne, kl. VIII, I lic. — Niebezpieczeństwo współczesnej wojny. 9.00. Historia, kl. VI. — Osiągnięcia naukowe i artystyczne XV wieku. 11.00. Język polski, kl. VIII — Władysław Reymont. 12.50. Język polski, kl. I—IV lic. — „Bajka". 13.30. TTR, RTSS — fizyka, sem. I — Przedmiot i metody fizyki. 14.00. TTR, RTSS — chemia, sem. I — Pierwiastki chemiczne i związki chemiczne. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik. 17.00. Dla młodych widzów: „Czwartek TDC" film prod. CSRS „Spadła z obłoków" (1). 18.00. Informator turystyczny. 18.15. „Westerplatczycy" — wojskowy program historyczny. 18.50. Dobranoc. 19.00. „Sonda". 20.00. Publicystyka DT. 20.15. Rolnicze rozmowy. 20.25. „Spadkobiercy pani Burke" (1) — „Wypadek czy morderstwo" — serial kryminalny TV irlandzkiej. 21.30. „Pegaz". 22.15. Dziennik TV. 22.30. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 20.00. NURT — Innowacje metodyczne w nauczaniu matematyki. Iloczyn funkcji liniowych. 20.30. NURT — Psychologiczne problemy zawodu nauczania. 21.00. NURT — Przygotowanie i stosowanie środków dydaktycznych i ich rola w modernizacji pracy szkoły. 21.30. 24 Godziny. 21.40. „Militaria, obronność, nowoczesność" — Historia uzbrojenia, artyleria. 23.15. Stopklatka. 22.45. Utwory Ignacego Jana Paderewskiego.

PIĄTEK 18 WRZEŚNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — fizyka, sem. I — Przedmiot i metody fizyki. 6.30. TTR, RTSS — chemia, sem. I — Pierwiastki chemiczne a związki chemiczne. 9.00 Program dla kl. III — Pomniki Warszawy. 9.55. Geografia, kl. VI — Na krańcach Polski. 11.00. Wychowanie obywatelskie, kl. VII — Celowo, sprawnie i z korzyścią. 13.30. TTR — uprawa roślin, sem. III — Pielęgnowanie, choroby i zbiór ziemniaków. 14.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. III — Rozpłód i wychów świń. 15.40. Redakcja Szkolna zapowiada. 15.55. NURT — Przygotowanie do odbioru programów radiowo-telewizyjnych. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Dla dzieci: „Piątek z Pankracym". 17.25. „W kręgu rodziny". 17.50. „Eros i Psyche" — film animowany. 18.15. „Impulsy". 18.50. Dobranoc. 19.00. Wędrówki z kamerą — film dokumentalny. 20.00. Monitor Rządowy. 20.30. Film fabularny. 21.55. „Cyrkowe spotkanie z balladą". 22.45. „Listy o gospodarce". 23.30. Dziennik TV.

SOBOTA 19 WRZEŚNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR — uprawa roślin, sem. III. Pielęgnowanie, choroby i zbiór ziemniaków. 6.30. TTR — hodowla zwierząt, sem. III — Rozpłód i wychów świń. 7.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. I — Układ mięśniowy i powłokowy. 7.30. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. I — Uproszczenia rysunkowe części maszyn. 9.30. Sobótka — budzik, magazyn nastolatków. Wspaniały świat Walta Disney'a. 15.40. Program dnia. 15.45. Radar. 16.00. Dziennik TV. 16.30. Monitor sejmowy. 17.00. I liga piłki nożnej. 18.50. Dobranoc. 19.00. Telewizja młodych. 20.00. Publicystyka DT. 20.15. Film fabularny. 21.55. Trzy obrazy — program baletowy. 22.00. Blisko i daleko. 22.45. Dziennik TV. 23.00. Kino nocne: „Sierżant Anderson".

PROGRAM II

17.45. Program dnia. 17.50. „Pierwsze porywy" (3) — radziecki film seryjny. 19.00. Program dnia. 20.00—23.00. STUDIO 2. 23.00. 24 Godziny.

NIEDZIELA 20 WRZEŚNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. I — Układ mięśniowy i powłokowy. 6.30. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. I — Uproszczenia rysunkowe części maszyn. 7.00. TTR, RTSS — Wiedza naszą siłą. 7.20. Akcent przeciwpożarowy trwa. 7.30. Nowoczesność w domu i zagrodzie. 8.00. Tydzień — magazyn rolniczy. 8.40. Telewizjada. 9.00. Teleranek TDC, w programie: Wspaniały świat Walta Disney'a. 10.20. Program dnia. 10.25. Antena. 10.55. Film dokumentalny. 11.45. Dziennik TV. 12.30. Z muzyką w zabytkach Warszawy. 13.15. Kraj za miastem — program rolny. 13.45. Myśli oświecone. 14.15. Losowanie dużego lotka. 14.30. Dla dzieci: Przygody Sindbada. 14.55—23.00. Tylko w Niedzielę.

PROGRAM II

12.55. Program dnia. 13.00. Krótkofalowcy — program wojskowy. 13.30. Telewizja młodych. 14.00. Przeboje tygodnia. 15.00. Teatr Wspomnień: Adam Mickiewicz „Pan Tadeusz" — księga III „Umizgi". 15.55. Ku Klux Klan — dziedzictwo nienawiści — film dokumentalny. 16.55. Wielka gra. 18.00. Stereo i w kolorze — goście Warszawskiej Jesieni. 20.00. Telewizyjny music-hall. 21.00. Spotkanie z pisarzem. 21.40. Filmoteka Narodowa — Filmy Stanisława Różewicza „Samotność we dwoje".

PONIEDZIAŁEK 21 WRZEŚNIA 1981 R.

PROGRAM I

13.00. TTR-RTSS — matematyka, sem. III — Kombinacje. Dwumian Newtona. 14.00. TTR, RTSS — fizyka sem. III — Ruch cząsteczek naładowanych w polu elektrycznym i magnetycznym. 15.55. NURT — Przygotowanie i stosowanie środków dydaktycznych. Projektoskop, foliogramy i fazogramy w praktyce szkolnej. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Dla dzieci: Zwierzyniec. 17.30. Dom i my — magazyn informacyjno-poradnikowy. 17.45. Ród Gąsieniców (6) — Izydor, wnuk Jędrka Krwawego. 18.50. Dobranoc. 19.00. Echa stadionów. 20.00. Rolnicze rozmowy. 20.10. Teatr Telewizji Edward Redliński „Wcześniak". 21.30. Mistrzostwa Europy w siatkówce Polska — Włochy. 22.30. Warszawska Jesień. 22.50. Dziennik TV.

WTOREK 22 WRZEŚNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — matematyka sem. III — Kombinacje. Dwumian Newtona. 6.30. TTR, RTSS — fizyka sem. III. Ruch cząsteczek naładowanych w polu elektrycznym i magnetycznym. 9.00. Język polski kl. V — Maria Konopnicka. 9.55. Czerwone, żółte, zielone kl. I—III. 10.50. Fizyka, ważniejszy, najważniejszy. 11.00. Plastyka kl. III — Z Szymonem Kobylińskim spotkanie 1. 12.50. Język polski kl. IV lic. — Leon Kruczkowski „Niemcy". 13.35. TTR, RTSS — język polski, sem. I — Kultura renesansu w Europie i Polsce. 14.05. TTR, RTSS — Wskaźniki metodyczne. 15.55. NURT — Pierwsze doświadczenia. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Dla dzieci: Kino TN. 17.30. Polska Kronika Filmowa. 17.40. Tak czy inaczej. 18.10. CDN — Do roboty. 18.50. Dobranoc. 19.00. Camerata. 20.00. Publicystyka DT. 20.15. Bitwa u ujścia Rio de La Plata — angielski film wojenny. 22.00. Forum ekonomistów. 22.45. Dziennik TV. 23.00. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 20.00. Sensacje z przeszłości — Na tropach skarbu koronnego. 20.30. Wtorek melomana — Z konkursowych nagrań Akiko Ebi. 21.30. 24 Godziny. 21.40. Wieczór filmowy.

ŚRODA 23 WRZEŚNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — język polski, sem. I — Kultura renesansu w Europie i Polsce. 6.30. TTR, RTSS — wskaźniki metodyczne sem. I Pierwsze doświadczenia. 8.10. Chemia kl. VIII — Metan. 11.00. Muzyka kl. I Co słyszysz. 13.30. TTR, RTSS — język polski sem. III — Literatura romantyczna w kraju po roku 1830. 14.00. TTR, RTSS — biologia, sem. III — Od- dychanie organizmów. 15.55. NURT — Innowacje metodyczne w nauczaniu matematyki. Równania i nierówności drugiego stopnia — graficzna interpretacja rozwiązań (cz. I). 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Dla dzieci: Michałki. 17.30. Losowanie Express lotka i Małego lotka. 17.40. Mieszkańcy gór — Od górników. 18.00. Magazyn motoryzacyjny. 18.50. Dobranoc. 19.00. Skarbiec. 20.00. Śpiewaczka i tancerka — film psychologiczno-obyczajowy rez. Filla Armstronga. 20.55. Album Haliny — recital Haliny Frąckowiak. 21.45. Piłka nożna Polska — NRD (drużyny młodzieżowe). 22.10. Dziennik TV.

PROGRAM II

18.25. Program dnia. 18.30. Wszechnica TVP. 19.00. Program lokalny. 20.00. Program publicystyczny. 20.45. Szkiełko i Oko. 21.30. 24 Godziny. 21.40. Poradnia zaufania. 22.10. Magazyn [illegible] Warszawska Jesień

AKUPUNKTURA

Gutenberg w malinach

Żal mi serce ściskał podczas strajku drukarzy, choć wydawcy dokonywali cudów, żeby codzienna strawa duchowa dotarła do czytelników. Ponoć nawet dziecięce drukarenki poszły w ruch. Nie oszukujmy się, efekty nie były nadzwyczajne. Głęboko poruszony tą sytuacją — rozmyślałem, jak by tu uniezależnić redakcję od drukarni. Jest sposób, a nawet kilka, trzeba tylko wynalazek poczciwego Gutenberga zawiesić na jakiś czas na kołku i odkurzyć wiedzę przodków.

Pierwszy sposób polecam redakcjom stojącym na glinie — odpadnie problem transportu surowca. Rolę drukarni spełni cegielnia. Proces produkcji jest prymitywnie prosty. Po nadaniu tej „celulozie" odpowiadającego nam kształtu (najlepiej użytkowego — nie będzie kłopotu z rozejściem się nakładu), nanosimy rylcem treść artykułu i następnie wypalamy. Pisma, które ukażą się w formie cegieł, będą rozchwytywane. Bardziej szanujące się redakcje mogą wydawać swoje pismo na glince porcelanowej.

W naszym regionie, korzystając z istnienia zakładów bawełnianych, można pokusić się o wydanie prasy metodą węzełkową. Pismo węzełkowe z powodzeniem stosowali Indianie. Wystarczy przeszkolić prządki — kilku Mohikanów znajdzie się w amerykańskim ZBOWiD-zie. Z moich felietonów można by na przykład uprząść skarpetki, a z reportaży kolegi Zielińskiego — wcale zgrabne kalesonki.

Redakcje położone na podmokłych terenach mogą założyć plantacje papirusów. Faraonowie bardzo sobie ten materiał piśmienny chwalili. Ich memoriały przetrwały tysiące lat. Cóż za gratka dla pism pokroju „Rzeczywistości" — tylko ich sensacyjne objawienia przetrwałyby wieki. Sądzę, że nawet w okresie suszy redakcje te będą miały dość wody na nawodnienie swych plantacji.

Wyśmienitą okazję nastręczają płoty okalające inwestycje ery Gierka. Jako że ogrodzenia te postoją jeszcze kilka lat, aż prosi się, by wykorzystać doświadczenia skośnookich towarzyszy, którzy na tego typu szpaltach wydają z dużym powodzeniem „gazetki wielkich hieroglifów". Nasza rodzima brać budowlana, nie mająca — z braku materiałów — nic do roboty, mogłaby się przekwalifikować na malowaczy gazet.

Szczególnie ważne księgi spisywano w zamierzchłych czasach na wołowej skórze. Tego surowca mamy niewiele, dlatego należy zarezerwować go dla spisujących dzieje budowy oczyszczalni ścieków w Grajewie, adaptacji budynku po KW PZPR na zespół przychodni i innych, dla wymienienia których nie starczyłoby miejsca. W razie braku garbowanych skór, bezpośrednio zainteresowani służą swoimi plecami.

Jak widzimy — sposobów okpienia drukarzy jest sporo. Mogą strajkować, ile dusza zapragnie. I tak uchronimy radio i telewizję od niecnych zakusów pana Wałęsy i spółki.

ADAM JERZY SOCHA

P.S. Nakłady pism spadają, objętość kurczy się. Ewenementem jest tylko jedna „gazeta", wychodząca w drukarni Narodowego Banku Polskiego: 36 milionów czytelników! „Gazeta" coraz bardziej kiepska, a nakład rośnie jak szalony.

BEZ PARDONU BEZ PARDONU

20 września o godzinie 12.00 odbędzie się druga tura rozmów z gospodarzami miasta i gminy.

Czekamy więc na Wasze pytania. Nie unikajcie spraw trudnych i drażliwych. Żadna z nich nie pozostanie bez odpowiedzi. Na listy i telefony oczekujemy w redakcji „Kontaktów", ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża, tel. 34-95 40-22.

Publiczna rozmowa dziennikarzy i mieszkańców ziemi łomżyńskiej z władzami miasta i gminy (z udziałem m.in. prezesa GS-u, dyrektora banku Spółdzielczego, dyrektora SKR-u, przedstawicieli Związków Zawodowych, dyrektora Gminnej Szkoły Zbiorczej itd.), odbędzie się w niedzielę, 20 września w siedzibie Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury. Początek spotkania o godz. 12.00.

Ogłoszenia drobne

SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa — Biuro Matrymonialne „Mazury". Olsztyn 2, skr. 336. k 2752-0

BIURO Matrymonialne „Piast" 84-300 Lębork, skrytka pocztowa 22 — poleca usługi. p 1218-0

ZAOPIEKUJĘ się dzieckiem powyżej roku we własnym mieszkaniu. Wiadomość na miejscu. Łomża, ul. Zjazd 13. Pawelska. p 1223-0

SPÓŁDZIELCZE M-4 w centrum Płocka — zamienię na podobne w Łomży. Arkadiusz Biernacki, ul. Łukasiewicza 12 m. 99, 09-400 Płock. g 3067-1

M-4 własnościowe — sprzedam. Łomża, ul. Moniuszki 8 m. 21. p 1222-1

SAMOCHÓD „Trabant" 601 w dobrym stanie, rok produkcji 1974 — sprzedam. Łomża, ul. Poznańska 12, Stanisław Trykoszko. g 3068-1

NADWOZIE „Łady" 1500 S bez wyposażenia — sprzedam. Jerzy Borawski. Szczuczyn, ul. Łomżyńska 16. p 1220-1

KONTAKTY

Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego Nina Omelczenko — sekretarz redakcji Maurycy Adamczyk Lech Gizelbach Wiesław Kołowski Adam Jerzy Socha Juliusz Swiredo, Władysław Tocki Danuta Wroniszewska Aleksander Wroniszewski Stanisław Zieliński Fotoreporter Gabor Lörinczy Redaktor graficzny — Stanisław Kędzielawski Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel Korekta Elżbieta Słupska STALE WSPÓŁPRACUJĄ Andrzej Bartosz Alicja Basta Jerzy Bielecki Jacek Gitlin Wiesław Janicki Andrzej Koziara, Klemens Krzyżagórski Piotr Kuncewicz Marek Kusiba Włodzimierz Pawluczuk Franciszek Piątkowski Tomasz Piotrowski Teresa Polecka Zbigniew Siedlecki Waldemar Szpaliński Andrzej Tchórzewski Wojciech Woźniak KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel ADRES REDAKCJI ul. Sadowa 10 18-400 Łomża Tel 34-95 40-32 telex 853249 WYDAWCA RSW Prasa Książka Ruch Białostockie Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku Druk Białostockie Zakłady Graficzne Zam. 1402/81. Nakład 20.000 A-5 PL ISSL 0208 6840 Nr indeksu 36328 Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red tyg. Kontakty 18-400 Łomża ul. Sadowa 10 tel 34-95 40 22 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW Prasa Książka Ruch na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności

pokusy
organ samoistny
pod redakcją Andrzeja Koziary

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nikogo już nie interesuje ostatnie położenie czterech naszych znajomych diabłów, ob. ob. Bużańskiego, Biebrzańskiego, Narwiańskiego i Dojlickiego. Stało się bowiem tak, że nawet diabelscy prominenci nie tylko nie mogą prokurować czy też kontrolować wydarzeń, ale niewiele już rozumieją z ich przebiegu. Krótko mówiąc, nasze znajome diabły częściej trzęsą portkami niż zdobywają się na, w miarę chociaż, sensowne działania. Przerosła ich epoka.

NARWIAŃSKI: Koledzy! Żarty się skończyły!

BUŻAŃSKI: O tym to już dawno wiemy.

BIEBRZAŃSKI: Nie pomagają już nawet ruchy robaczkowe i pozorne. Wysiada karuzela stanowisk. Mechanizmy nawalają, a części zamiennych zabrakowało.

DOJLICKI: Jako, hm, hm nieco bardziej od kolegów bywały w świecie, tu przypomnę moje zasługi na urzędach stolicy, proponuję wam zaczęcie taktyki od początku bowiem znowu jesteśmy na końcu. Uważam, że należy rozpocząć defensywną ofensywę.

BUŻAŃSKI: Co on pie... przepraszam.

DOJLICKI: Taktyka defensywy ofensywnej polega między innymi na tym, że trzeba gawiedź zajmować pierdołami. Tego uczono mnie na pewnej renomowanej uczelni zagranicznej Durnota pójdzie w jedną stronę, a my w drugą. Później się okaże kto i ile ma racji oraz jaka ona jest. A wiadomo, że racja może być tylko jedna, tak samo zresztą jak PRAWDA.

BIEBRZAŃSKI: Ciekawe jaka?

DOJLICKI: Może być tylko i wyłącznie WŁAŚCIWA. Ponieważ wiemy, że tylko my mamy rację właściwą oraz prawdziwą, efekt całych zawodów może być tylko jeden.

NARWIAŃSKI: To znaczy żeśmy już wygrali?

DOJLICKI: Może jeszcze nie do końca, ale mużna powiedzieć, że prawie.

BIEBRZAŃSKI: Może dodam też coś konkretnego. W moim rejonie wyszła taka fajna afera z dyrektorem. Znalazłem sobie takiego jednego na to stanowisko, ale naród go w tym roku pogonił. Człowiek był wielce zasłużony, bo dokładnie rozłożył parę placówek. Dobrze się też i u mnie spisał. Zabagnił sprawy jak dolinę Biebrzy. Teraz jak go za przeproszeniem społeczeństwo za dupę wzięło, to postarałem się sprawić, aby prędko nie było następcy. Ewentualny osobnik kandydujący na to stanowisko dostaje takie smary, że nie ma co oliwić. Goniądz Cały się trzęsie, naród nerwy napina. A o to przecież chodzi. Zdenerwowani ludzie z mojego rejonu muszą się w końcu na coś nabrać. Wtedy ja tego, owego i tamtego i już mam w garści wrogie siły ewentualnie elementy. Elementy w nerwach robią głupoty.

DOJLICKI: Długo kolega i mądrze przemawiał. Traktuje to jak uzupełnienie mojej teorii defensywnej ofensywy. Jak nie da rady wziąć za mordę to trzeba podzielić, poróżnić, stworzyć napięcie.

NARWIAŃSKI: Eureka! Wtedy robi się woda mętna i trawa czerwona.

BUŻAŃSKI: Nie mylcie tytułów. Była woda czysta i trawa zielona.

NARWIAŃSKI: U nas na Essenesię tak uczyli, to tak mówię.

BIEBRZAŃSKI: Dobrze, dobrze, że was też uczyli języków. Essen to takie jedzenie i miasto, a nie uczelnia, ale nie powiem, uzupełnienie teorii defensywy ofensywnej bardzo mi się podoba.

NARWIAŃSKI: Już na zakończenie zachowałem krzepiącą wiadomość. Wypuściłem mianowicie paru pismaków w maliny. Zalęgło mi się w Łomży trochę takich, co mieszają. Znalazłem amatora, który poda ich do sądu. Zamiast zajmować się swoją durną robotą powłóczą się po przybytkach Temidy. Amator też dostanie do wiwatu, bo zamiast wytwarzać swoje dzieła irracjonalne i duchowe będzie miał gdzie kłapać dziobem.

DOJLICKI: O to jest właśnie dobry początek defensywy ofensywnej. Niech się gryzą o kości, a mięsko będzie nasze. Howk, rzekłem.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

Sennik – przepowiednie niechybne

Doić krowę

Dłoń własną widzieć — urodzenie dziecięcia.
Długi odbierać — gniew ze znajomymi; płacić długi — strzeż się zguby
Dłutem pracować — ciężka praca
Dłużnikiem zostać — korzyść i zysk
Dmuchać — będziesz cierpieć od obmów
Dobra nabyć — kłopoty; dobra rozdawać — bogatemu nieszczęście, ubogiemu — szczęście
Dogorywający płomień — być świadkiem śmierci
Doganiać kogoś — rozczarowanie
Doić krowę — przez drugich zysk osiągniesz
Doktor — daleka podróż
Dokumenty — zawikłasz się w proces
Dolinę piękną widzieć — radość
Doły wielkie — chytrość; wpaść w nie — być pokonanym
Dom budować — strzec się nieprzyjaciół; dom kupować — obmowa
Dom palący się — szczęście i bogactwo
Dorożką jechać — kłopoty rodzinne
Dowodzić wojskiem — niezasłużona sława
Drabina, leźć po niej — polepszenie położenia; schodzić w dół — wpaść w smutek
Drapieżny ptak — chytry nieprzyjaciel czyha
Drób hodować — powodzenie w pracy
Droga prosta — pomyślność; ciasna — przeszkody; rozstajna — zwątpienie
Drukarnia — zysk
Drużbować — miłosierny uczynek
Drwa rąbać — utracisz majątek
Drzewo sadzić — śmierć bliskiego; ścinać — pomyślność
Drzwi otwierać — zyski; zamykać — strata
Dubeltówka — spełnienie życzeń
Duchy widzieć — troski i niepowodzenia
Dwór widzieć — kłopot
Dym w górę idący — sprzeczka domowa; dym w mieszkaniu — niepowodzenie
Dywan widzieć — podróż; dywan robić — poprawa w interesach
Dzban widzieć — nieporozumienia; dzban rozbić — śmierć znajomego
Dziadek — dla starych słabość; dla młodych — powodzenie w miłości
Działa widzieć — wielkie zmiany; słyszeć — nowiny
Dzik, zabić go — pokonanie nieprzyjaciela; uciekać przed nim — wstyd i hańba

RODZI SIĘ MUZEUM

Tego gumowego Asmodeusza nabył red. Zbigniew Henczel na odpuście św. Rocha w Nowogrodzie. Nadal przypominamy: czekamy na eksponaty do przyszłego muzeum. Przyjmiemy w redakcji — bez żadnych ograniczeń i w dowolnej postaci — wszelkie maszkary, czarownice, diabły, strachy, dziwadła oraz albumy, książki, dokumenty i opowieści z nimi związane. Hojność zostanie nagrodzona wpisem do Złotej Księgi Ofiarodawców. Każdy wpis ze zdjęciem eksponatu opublikujemy na łamach „Kontaktów".

Zoologia

O ZAJĄCACH

Mięsa zajęcze cenili już (mimo iż wówczas też nie było tanie) starożytni Rzymianie i Grecy, wierząc, iż potrawy z zająca wpływają korzystnie na urodę i... pobudzają temperament. Ze względu na swą przysłowiową płodność, zając był zwierzęciem poświęconym Wenerze, natomiast mahometanie i Żydzi nie jedli mięsa zajęczego, uważając je za pokarm „nieczysty". Zresztą i Rzym wystąpił przeciwko smakowitym zającom; papież Zachariasz wydał zakaz spożywania przez duchownych mięsa zajęczego, któremu przypisywano winę za zbyt bujny przyrost naturalny w pobliżu męskich klasztorów i plebanii. Zagrożeni klątwą księża i zakonnicy francuscy przerzucili się wówczas na nie mniej smaczne (lecz również pełne temperamentu) króliki.

I STAŁA SIĘ CZELNOŚĆ
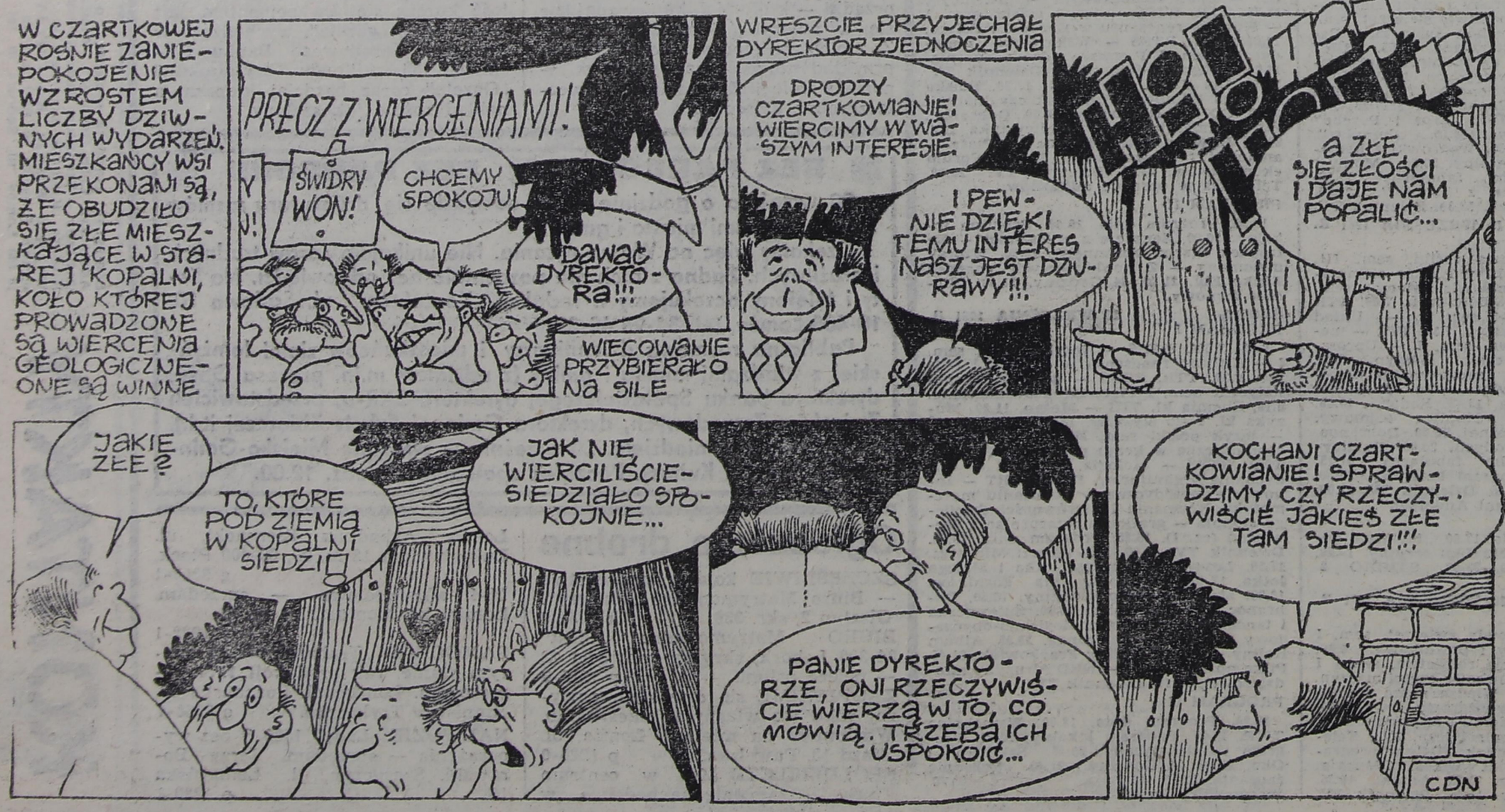
POMYSŁ: MARCIN WOLSKI
ADAPTACJA I RYS.: JÓZEF BURNIEWICZ